Nr. 36. Warszawa, dnia 23 Sierpnia (4 Września) 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8. z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy. kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

W maju r. b. zawiązał się w Warszawie komitet z przedstawicieli rozmaitych stanów, który postanowił zebrać z całego kraju wielki fundusz dla upamiętnienia pobytu Najjaśniejszych Państwa jakąś instytucyą dobroczynną. Zgromadzono 1,000,000 rubli, które złożono Naczelnikowi kraju, przyczem margr. Z. Wielopolski w rosyjskiej przemowie prosił J. O. Księcia Imeretyńskiego o wstawienie się do Jego Cesarskiej Mości o przyjęcie tego daru i przeznaczenie go na cel filantropijny.

Dnia 1 września tenże komitet przedstawił się Najjaśniejszemu Panu, który raczył wyrzec:

W imieniu Cesarzowej i Mojem wyrażam wam, panowie, Nasze szczere podziękowanie za ten dar szczodry, w którym wzięły udział wszystkie warstwy ludności polskiej, i za uczucia przywiązania, któreście Nam wyjawili. Ja wierzę zupełnie w ich szczerość. Wczoraj My Oboje byliśmy głęboko wzruszeni gorącem przyjęciem, okazanem Nam tutaj. Powitanie Warszawy pozostawi w Nas najmilsze wspomnienie o Naszych pierwszych jej odwiedzinach. Raz jeszcze serdecznie dziękuję wam, panowie.

Mowa prezesa komitetu, margr. Z. Wielopolskiego, brzmiała:

„Najjaśniejszy Panie! Dzięki u stóp Twoich z głębi duszy składamy, że darzysz nas radością oglądania Ciebie i Najjaśniejszej Cesarzowej naszej pośród nas. Dzięki, Najjaśniejszy Panie, że nie odrzucasz skromnego grosza kraju naszego. Wedle sił niesiona, chętna ofiara wszystkich mieszkańców Królestwa Polskiego, bez różnicy stanu i pochodzenia, niechaj będzie rękojmią wzajemnej ufności wszystkich Twych poddanych, złączonych miłością Monarchy i ojczyzny. Weź też w darze, Najjaśniejszy Panie, miliony serc naszych, nieograniczoną ufnością ku Tobie wzniesionych. W Twojem wspaniałomyślnem Samowładztwie, w pokoju wewnętrznym Państwa, w potędze i chwale Monarchii, naród polski cały promienistą widzi przyszłość i chce, czy to w szczęściu, czy też pośród losu zmiennych kolei, wiernie, niezachwianie służyć Tobie, Ukochanemu swemu Monarsze.“

Szan. Abonentów kwartalnych prosimy o odnowienie przedpłaty.

POLITYKA.

Tydzień polityczny. Słowo „allies,“ którego nie wymówiono w październiku roku zeszłego na uroczystościach paryskich, wyszło teraz, na pożegnaniu w Kronsztadzie, w d. 26 z. m. z ust p. Faure'a. Telegramy Agencyi Rosyjskiej tak opisują okoliczności z ważnym tym objawem bezpośrednio związane:

Petersburg, 27-go sierpnia. Podczas śniadania na „Pothuau“ prezydent Faure zwrócił się do Ich Cesarskich Mości Najjaśniejszych Państwa z następującemi słowami: „Dziękuję Waszej Cesarskiej Mości i Jej Cesarskiej Mości Cesarzowej za tak miłościwe zgodzenie się na zwiedzenie jednego z okrętów naszej floty. Jestem tem szczęśliwszy, że daje mi to sposobność do wyrażenia Waszej Cesarskiej Mości pod cieniem naszych flag, jak jestem wzruszony gościnnością, okazaną nam przez Waszą Cesarską Mość, i jak jesteśmy wdzięczni narodowi rosyjskiemu za wspaniałe przyjęcie, okazane prezydentowi rzeczypospolitej francuskiej. Wasza Cesarska Mość raczył przybyć do Francyi w towarzystwie marynarzy rosyjskich i francuskich: wśród nich też ja, głęboko wzruszony, szlę Rosyi pożegnanie. Flota francuska i flota rosyjska mogą szczycić się tem, że od pierwszego dnia brały udział w wielkich zdarzeniach, które przyczyniły się do ścisłej przyjaźni pomiędzy Francyą a Rosyą; one zbliżyły wyciągnięte dłonie i dały dwom narodom przyjaznym i sprzymierzonym, kierującym się jednym wspólnym ideałem: cywilizacyi, prawa i sprawiedliwości, możność połączenia się, jak bracia, w najserdeczniejszych i najszczerszych objęciach. Wznoszę puhar na cześć Jego Cesarskiej Mości i Jej Cesarskiej Mości Cesarzowej w chwili rozłączenia się i proszę przyjąć moje gorące życzenia szczęścia dla Jego Cesarskiej Mości i całej Rodziny Cesarskiej. W imieniu Francyi piję za wielkość Rosyi!“

Prawit. Wiestn. ogłasza następującą odpowiedź Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana na toast prezydenta Faure'a podczas śniadania na pokładzie pancernika „Pothuau“: „Słowa, z któremi pan, panie prezydencie, zwróciłeś się do Mnie, znajdują żywy odgłos w Mojem sercu i zupełnie odpowiadają uczuciom, które ożywiają mnie, jako też całą Rosyę. Szczęśliwy jestem, widząc, że pobyt pański pośród nas tworzy nowy węzeł pomiędzy Naszymi dwoma narodami, zaprzyjaźnionymi i sprzymierzonymi i jednakowo zdecydowanymi przyłożyć się ze wszystkich sił swoich do utrzymania pokoju świata w duchu prawa i sprawiedliwości. Jeszcze raz, pozwól mi pan, panie prezydencie, podziękować panu za pańską wizytę i wychylić kielich na cześć pańską i za pomyślność Francyi.“

Rzecz prosta, że takie stwierdzenie węzła, łączącego oba państwa sąsiadujące z Niemcami, w nich głównie wywołać musiało wrażenie głębokie. Opinia we Francyi jest niezwykle podniecona. P. Faure wzrósł w uznaniu powszechnem tych stronnictw które bądź rządzą Francyą, bądź też otwarcie z rządem nie walczą. Dzień powrotu jego do Francyi, 31 sierpnia, obchodzono jak święto narodowe, z większą jeszcze uroczystością, niż 14 lipca.

Z Indyi wiadomości dla Anglików niepomyślne. Afrydowie posuwają się ciągle ku Pendżabowi. Vicekról posłał nowe jeszcze zapytanie do Abdurramana, czy chce uczciwie dochować „przyjaźni“ Cesarstwu Indyjskiemu? Oczywiście, podwyższenie stypendyum ułatwiłoby odpowiedź twierdzącą; ale pewność dać może tylko przeświadczenie, że emir nie czuje za sobą żadnych zgoła pleców i nie knuje zamiarów wyswobodzenia się z pod Anglików. Dowództwo wojskowe zaczęło już rozbrajać pułki pograniczne z krajowców. Siły zasługujące na zaufanie jeszcze nie zgromadzone; działań wojennych wkrótce przecież spodziewać się już można, a skutek ich nie ulega wątpliwości, jeżeliby ruch okazał się tylko miejscowym, o czem znowu wątpić potrzeba. W ludności mahometańskiej wrze niezadowolenie. Podniety, wynikające z wrzekomego „pan-islamizmu“ — są raczej rojeniami dziennikarzy. Cienia nawet prawdopodobieństwa nie mają „agitacye tureckie,“ o których rozpisywano się w dziennikach.

Jak utknął, tak ani drgnie słynny pokój grecko-turecki. Lord Salisbury zaproponował ostatecznie zaciągnięcie pożyczki za poręką Rosyi, Anglii i Francyi i nadanie tym mocarstwom prawa kontroli nad dochodami, które mają posłużyć do spłaty. Projek ten jeszcze nie wszedł na porządek dzienny komitetu posłów w Stambule. Do czasu spłacenia długu miałaby Turcya prawo trzymać Laryssę wraz z pasem północnym.

Baron Calle powrócił do Sofii.

W d. 1 września zebrały się komisye stronnictw prawicy sejmu przedlitawskiego, aby z ust p. Jaworskiego, jako przewodniczącego, przyjąć poufne oświadczenie, iż rząd postanowił oprzeć się na nich i przedstawić im projekty nowych urządzeń organizacyjnych. Postanowiono rękę podaną pochwycić i do prowadzenia układów wybrać podkomitet.

Niemcy czescy urzędownie uczestniczą w obchodzie tryumfu sedańskiego w Lipsku. Czterystu ich wyjechało ostentacyjnie, aby obywatelstwo austryackie utopić w patryotyzmie pangermańskim.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NIEMIEC.

Berlin, 24 sierpnia.

Unda fert nec regitur.

Hegel gdzieś powiada, iż nauka zwykle spóźnia się, gdy przychodzi sądzić świat i ludzkość. Można, zdaje się, twierdzić, iż jej przedstawiciele, czyli tak zwani kapłanowie za późno dowiadują się o tem, co zachodzi na świecie, za późno uświadamiają sobie bóle i wesela współczesnej im ludzkości. Mówimy oczywiście o urzędowych przedstawicielach nauki, czyli profesorach, żywionych w kojcu państwowym. W Niemczech można odnaleźć najdoskonalsze okazy tego rodzaju mandarynów, bujających na olimpijskich wyżynach wiedzy i nigdy nie spuszczających się na poziom rzeczywistego życia. Ta bierność i safandulstwo w stosunku do całego mechanizmu życia społecznego, ten fałszywy i udawany arystokratyzm duchowy tłomaczy się przedewszystkiem stanowiskiem owych profesorów. Uniwersytety tutejsze, z pozoru nie mając rąk związanych przez dekrety rządu, naginają się w rzeczywistości dość elastycznie w kierunku jego prądów z wyjątkiem Getyngi, uważanej przez rząd pruski za staro gniazdo rokoszu welfskiego, wszystkie dane wszechnice liczą się z jego życzeniami i dla uniknięcia nieprzyjemnych starć wolą nie wtrącać się do potrzeb społeczeństwa, aby tem lepiej zatopić się w swych studyach. Zresztą profesor niemiecki w większości wypadków jest ciasnym specyalistą, który czuje się znakomicie w czterech ścianach gabinetu biblioteki lub pod pantoflem swej małżonki. Karyerę swą zawdzięcza często silnej pamięci i honoraryom. Poco taki filister miałby sobie mącić pogodę ducha, zaprzątając głowę rzeczami, które nie są w związku z jego karyerą naukową? Można więc za zasługę policzyć rządowi pruskiemu, iż tych oto mólów naukowych obudził ze społecznego letargu. Nietolerancyjność junkrów, która nie znosi najlżejszej różnicy zdań, ich obskurantyzmu, który radby cały naród zatopić w morzu ciemnoty, aby tem łatwiej włożył na siebie obrożę feodalnego niewolnictwa, przemieniła te prawowierne owce na rogatych kozłów opozycyi. Gdy minister udzielił nagany nauczycielowi w Kielu, iż ośmielił się bronić teoryi Darwina, a Stumm zażądał od rządu, aby plenił pewne kierunki ekonomii politycznej w uniwersytetach, musiała spaść z oczu łuska naiwności profesorom niemieckim. Zrozumieli, iż w tej nierównej walce powinni pozyskać sobie sprzymierzeńca, a tego można było odnaleźć tylko w narodzie. Ażeby zaskarbić sobie atoli jego sympatyę, należało dać dowody, iż się podziela uczucia i myśli swego przyszłego sojusznika, trzeba było samemu wesprzeć go. Bez despotycznego nacisku ze strony rządu uniwersytety z pewnością nie uczyniłyby ustępstw wymaganiom swego czasu. Jak daleko zaszły jednak na tej drodze, świadczą dwie akademickie ankiety: jedna w kwestyi uniwersytetów ludowych, druga w sprawie studyów kobiecych. W pierwszej, podjętej przez redaktora opozycyjnego tygodnika *Zukunft*, urzędowi uczeni ujawnili swą sympatyę dla nowości ganionej i prześladowanej przez rząd. W kilku memoryałach przez szpary półsłówek przezierają dość poziome pobudki, które wywołały przejście do jednego z wojujących obozów po tylu latach pozornej neutralności. Tu i owdzie napotykamy mianowicie aluzyę, która przypomina wyssaną przez Macaulaya z palca bajkę o „nowoczesnych wandalach," co zagarnąwszy władzę zrównają z ziemią pyszny gmach cywilizacyi nowoczesnej. Większość jednak, maskując może istotne uczucia, powołuje się na motywy wznioślejsze. Wobec wzmożenia się fali demokratycznej w Niemczech, wobec zaostrzenia się rozterki pomiędzy junkrami a ludem, profesowie uważają za swój obowiązek pomódz plebsowi, uzbrajając go do zapasów w oręż naukowy. Słusznie zaznacza jeden z zagadniętych, iż ruchy społeczne dziś więcej, niż kiedykolwiek, opierają się na wyrokach i wróżbach nauki. Powszechne prawo głosowania wciągnęło w wir polityki miliony nowych wyborców; na scenie społecznej wystąpił nowy potężny działacz, któremu zbywa na odpowiedniem wykształceniu. Nauka zaprowadzi ład w pojęciach narodu i skieruje go z manowców ślepej instynktownej walki na drogę świadomej pracy cywilizacyjnej. Historyk, prof Lamprecht, podkreśla w swym memoryale, iż fanatyzm mas podczas ruchów chłopskich XV i XVI stul. podsycała świadomość ich upośledzenia umysłowego. Nauka — twierdzi ten znakomity uczony — nie może być przywilejem tylko pewnej garstki wybrańców: rośnie ona i dojrzewa na gruncie zroszonym potem całego narodu, a więc i ciemnych warstw ubogich. „Wiedza stanowi dobytek powszechny, ma przeto charakter społeczny." Jedna z odpowiedzi kwestyonaryusza podnosi względy ekonomiczne. Naród niemiecki, stojący obecnie w krzyżowym ogniu walki na rynku wszechświatowym — twierdzi prof. Hasbach — może zwyciężyć tylko pod znakiem nauki. Im światlejsi są kierownicy przemysłu, im bogatsi duchem robotnicy, tem prawdopodobniej będzie Niemcom przyświecała gwiazda powodzenia. Lecz i samym uczonym wyjdzie na dobre, zdaniem jednego z profesorów, zstąpienie na niziny. Uczeni niemieccy starali się otaczać, jak biblijny Jehowa, mgłą żargonu naukowego i niestrawnej frazeologii, murem chińskim karkołomnych terminów. Schopenhauer i Nietzsche wyśmieli owe szalbierstwo stylistyczne i orgie mistyki, które zagradzają wstęp do świątyni łaknącym wiedzy profanom. Nauka niemiecka sprawia często wrażenie, jak gdyby istniała tylko dla pewnej kliki augurów akademickich. Gdy te hieroglify przełoży się przed publicznością na język mowy potocznej, nauka pozbędzie się swej wstrętnej szaty kabalistycznej i zespoli się z narodem. Prawie jednogłośnie podane opinie zgadzają się na to, iż uniwersytety ludowe muszą mieć na względzie nie wzbogacenie praktycznego wykształcenia narodu, lecz obudzenie w nim zainteresowania do nauki, otworzenie mu oczu na niezliczone jej

---

17)

W. DOROSZEWICZ.

Na Sachalin.

XXXIII.

Egzekucya.

Bić! Rozkaz ten wydano dziś po raz pierwszy i, da Bóg, ostatni na parowcu.

Dotychczas słowo to unosiło się w powietrzu tylko jako groźba; huczało jak grom daleki.

W jednym oddziale zdarzyła się kradzież.

Nawet nie kradzież. Kradną wszyscy. Za to biją na spodzie okrętu. Ale to nie wzburza.

Zdarzyło się coś takiego, czego katorga nie przebacza, co wzburza ją do głębi duszy.

Aresztant, Kaukazczyk, jakimś sprytnym sposobem potrafił ukryć 150 rubli. Kapitał na całe życie.

Co mu posłużyło za portfel, jest to jego tajemnica.

W obawie rewizyi na parowcu dał do przechowania pieniądze towarzyszowi, Lezginczykowi. Ten pieniądze przywłaszczył.

Katorga nie wnika w to, co człowiek czynił dawniej. To nie wchodzi w rachubę. Choćby ojca i matkę zarznął — to „rzecz jego." Ale tutaj należy być uczciwym. I katorga, obojętna dla ojcobójstwa, spełnionego na swobodzie, głęboko bywa wzburzona oszustwem, popełnionem w więzieniu.

— Coś uczynił z wolnymi, to rzecz twoja; lecz swoich nie krzywdź.

Przeprowadzono poszukiwania.

Lezginczyk zaparł się.

— Nie brałem pieniędzy, nic nie wiem! — dawał przez tłomacza jedyną odpowiedź.

Ale cały oddział jednogłośnie potępił go.

— Wszyscy wiemy, żeś wziął. Są świadkowie.

Zwrócono się do „arystokracyi" oddziału, długoterminowców, i ci potwierdzili:

— Tak. wziął!

Zagrożono mu chłostą.

Miał ciągle jedną odpowiedź:

— Nie brałem pieniędzy.

I oto dano rozkaz: „bić!"

* * *

Stworzono konwój zupełnie uzbrojony. W środku czworoboku ławka, zamiast sławnej „kobyły." Leży narzędzie kary.

Całe przygotowanie obliczone na to, ażeby wywrzeć na winnym „imponujące" wrażenie.

Konwój przyprowadził siedmiu aresztantów: pięciu na świadków egzekucyi, ażeby następnie obwieścili ją na spodzie okrętu, szósty — tłomacz.

Ostatni wszedł Lezginczyk, okuty w kajdany. Mężczyzna ogromny, dziobaty, pochmurny, lecz spokojny.

Zdawało się, iż nawet całe to przygotowanie nie zrobiło na nim wrażenia żadnego.

Widocznie przyszedł do przekonania, że „pieniądze zawsze są pieniędzmi" i postanowił cierpieć, byleby nie pokazać, gdzie są schowane.

— Przetłomacz mu, o co go ostatni raz zapytują: gdzie schował pieniądze? Jeżeli wskaże — nic mu nie będzie.

— Niema pieniędzy! — odparł ponuro Lezginczyk, nie czekając aż mu przetłomaczą pytanie.

— Niema pieniędzy! — powtórzył, gdy mu przetłomaczono, czego od niego żądają.

— Rozbieraj się!

Lezginczyk zaczął się rozbierać taki sam ponury i spokojny.

Tylko palce drżały i były nieposłuszne.

— Połóż się!

Chwila najtragiczniejsza. Nawet najbardziej oswojeni z cierpieniem aresztanci upadają na duchu pod wpływem takiej komendy. Klękają, proszą przebaczenia, łaski.

Lezginczyk „spokojnie" położył się na ławce, gotów na wszelkie cierpienia za 150 rubli.

Jak drogi rubel, gdy jego walutą są cierpienia i męki ludzkie!

zagadnienia, rozszerzenie widnokręgu umysłowego słuchaczów i wzniesienie ich po nad poziom trosk codziennych. Podjęte dotychczas w Lipsku, Monachium i Jenie próby przeszły oczekiwania inicyatorów. Pomimo, iż rządy stanowczo odmówiły poparcia, a nawet audytorów uniwersyteckich, wszystko udało się świetnie. Słuchacze napłynęli tłumami. Przeszło 30% dostarczyli robotnicy, którzy wysłuchali 50% wykładów. Profesorowie opisują dowody ich zainteresowania się. Na pół godziny przed rozpoczęciem wykładu przybywali słuchacze, aby zająć wygodniejsze miejsce. Wieczory poświęcone dyskusyi na rozmaite tematy, napotkane w wykładzie, udowodniły przejęcia się ich przedmiotem.

Druga ankieta dotyczy kobiet. Przed kilku laty profesorowie niemieccy zasadniczo sprzeciwiali się dopuszczeniu ich do sakramentu wykładu uniwersyteckiego. Gdy ich zapytywano o przyczynę tej opozycyi, wyszukiwali najrozmaitsze na świecie powody dla nadania pozoru głębokomyślności swej światłej opinii. Lecz nieustraszone bojowniczki szturmowały i stopniowo napływały do świątnicy nauki. Profesor czuł się zakłopotany, wytrzeszczał oczy, obawiał się nieprzewidzianych skandalów, lecz musiał się przekonać niestety, iż wszystko to było chorobliwym wytworem jego ograniczonej wyobraźni. Nareszcie nastąpił fakt przyzwyczajenia, a mur uprzedzeń runął z łoskotem. Dziś w ankiecie, sporządzonej przez wydawcę Kirchhoffa, ze 104 zagadniętych profesorów uniwersyteckich — *horribile dictu* — tylko 12 wystąpiło jako zdeklarowani przeciwnicy studyów niewieścich. Ankieta zawiera pytania, o ile należy kobiecie udzielać praw wstępu do uniwersytetu i sprawowania zawodów liberalnych, oraz czy jest ona do tego uzdolniona. Sympatycznych obrońców znajdują niewiasty w filozofach, ekonomistach, matematykach i przyrodnikach. Teologowie i prawnicy chwieją się w swych zdaniach; medycy w wielu wypadkach kategorycznie oświadczają się przeciwko nowości. Lecz z tych nawet, co są przekonani o niewłaściwości studyów dla kobiety, większa część, nauczona doświadczeniem, iż wszelkie z góry powzięte przekonania życie często wystawia na pośmiewisko, głosuje za niewiastami w nadziei, iż praktyka wykaże, kto ma racyę. Czy zdolności kobiet uprawniają do przypuszczenia, iż one podołają trudnościom? Większość wystawia im pochlebne świadectwo. Wielu jednak odnajduje w białogłowie wady bądź fizycznej, bądź psychicznej natury, które nie pozwalają spodziewać się po niej wielkiej pociechy dla nauki. Nie zapomniano w tej litanii zgoła o niczem, co wogóle posiada szpetnego natura ludzka, a co jest właściwe kobietom, ułomności rozdęto niepomiernie. Sądów tych niepodobna kłaść na wagę złota, jeśli jedni np. uważają menstruacyę za nieprzezwyciężony szkopuł dla studyów, podczas gdy inni (dr. Noble i Panzerbieler) zaprzeczają kategorycznie, jakoby ta funkcya fizyologiczna miała w odpowiednim czasie oddziaływać przytępiająco na zdolności umysłowe kobiety. Powołując się na przyrodzoną nierówność pomiędzy płciami, chcą niektórzy uczeni ogłosić swój zawód za *tabu* dla kobiet. Tak np. prof. Esmarck uważa chirurgię za uprzywilejowaną dyscyplinę mężczyzn. W oczach prof. Bara z Getyngi filozofia jest mądrością nieprzystępną dla kobiet. Podług prof. Kiela kobieta nie powinna imać się studyów historycznych, jako istota skąpo wyposażona w dar obejmowania szerokich horyzontów. Znany technolog, prof. Reauleux, chciałby technologię wykluczyć z obszaru studyów niewieścich. Rozsądniej postępują ci, co wprawdzie odmawiają kobietom pewnych zdolności, sądząc ze swego życiowego względnego doświadczenia, lecz nie chcą na tej podstawie tworzyć praw wyjątkowych i wyrządzać krzywdy setkom istot, rwących się do światła i pracy. Ci poprzestają tylko na podkreśleniu mimochodem wyższości mężczyzny, kwalifikującej go do pracy naukowej. Kobieta mniej celuje w logicznem myśleniu, według znanego prof. Gierkego, więcej hołduje dogmatyzmowi od mężczyzny podług prof. Zommatscha i nie odznacza się dobrą pamięcią, jak utrzymuje fizyolog prof. Fritsche. Wszystkie te krytyki należy przyjąć z zastrzeżeniem, gdyż można przeciwstawić im z taką samą stanowczością wygłaszane wręcz przeciwne zdania. Prof. Delbrück np. podziwia pamięć kobiety, a prof. Rosenbach jest pełen zachwytu dla jej samodzielności umysłowej. Cały szereg powag naukowych, jak np. znakomity astronom Förster z Berlina, twierdzi, że kobieta w niczem nie ustępuje mężczyźnie. Należy przypuścić, iż co do pilności studentów profesorowie przeszli bardzo smutne doświadczenia, gdyż inaczej nie odzywaliby się z takim entuzyazmem o pracowitości kobiety. Niektórzy specyaliści, jak oftalmologowie, ginekologowie i fedologowie, chcieliby chętnie widzieć w szeregach swych kobiety, gdyż te więcej od mężczyzn nadają się do ich specyalności. Jakeśmy już zauważyli, wielu przeczuwa, iż w roztrząsanej sprawie nie mają drogowskazów i nie ufając sobie, chcieliby ostateczną decyzyę pozostawić życiu. W tej grupie spotykamy między innymi filozofa Wundta z Lipska. Wogóle zdaje się w wielu przemówiło uczucie sprawiedliwości. Mniej zgody napotykamy wśród zagadniętych co do sposobów urzeczywistnienia studyów niewieścich. Bo jakkolwiek dotychczasowa praktyka nie zdrożnego nie odkryła, w uczęszczaniu kobiet do wszechnic „męzkich," uczonym majaczą wciąż widma z głupich humorystycznych pisemek, które przez długi czas bawiły czytelniczą gawiedź płaskimi konceptami; studentki występowały w nich jako siewczynie moralnego zepsucia i okrzyczanej „wolnej miłości." Wchodziła tu w grę troska i obawa o moralność burszów. Katonowie akademiccy zapominali, iż światem bursza niemieckiego jest półświatek i że zetknięcie się z kobietami inteligentnemi mogłoby tylko zbawiennie wpłynąć na jego moralność. Jeden z profesorów berlińskich stawia z całą powagą żądanie, aby kandydatki do studyów odznaczały się przeszłością bez skazy moralnej. Szkoda, iż uczony mąż nie podał przepisu, w jaki sposób poddać rewizyi ową przeszłość.

Jeżeli w kwestyi studyów szala sympatyi przechyla się na stronę kobiet, to inaczej stoi sprawa z dopuszczeniem ich do praktyki zawodowej. Wprawdzie teologowie i prawnicy sprzyjają tu płci żeńskiej, prawdopodobnie dlatego—nazwijmy rzeczy po imieniu — iż konkurencya niewieścia na tem polu jest kwestyą długiego czasu. Medycy atoli, jako więcej zainteresowani i zagrożeni, chcieliby dziedzinę praktyki przywłaszczyć mężczyznom.

Trudno wyobrazić tę zdumiewającą moc panowania nad sobą.

Ani przestrachu, ani wahania się na twarzy.

Wymierzono mu razy.

Nie wydał ani jęku, ani krzyku.

Twarz tylko nieco pobladła. Usta lekko drżały.

Ale pozostał ten sam wyraz człowieka, który postanowił milczeć za wszelką cenę.

Gdy aresztanci schodzili na spód okrętu, zdawało mi się, że z ich oczu przeglądała ironia.

Być może, iż ironię tę wywołała kara stosunkowo lekka (według pojęć więziennych), wykonana dla formy.

Może oni porównywali ową karę z tem, co ich towarzysza winnego czekało pod pokładem.

Spod okrętu wydał w tej sprawie *swój* wyrok...

XXXIV.

Kaźń.

Zamykają w kozie. Zakuwają w kajdany.

Dzisiaj w nocy na spodzie okrętu „wymierzano sprawiedliwość."

Sprawiedliwość katorgi, ale tylko o kilka dziesiątków lat pozostająca w tyle od sprawiedliwości ludzi cywilizowanych, humanitarnych.

Karano Lezgińczyka.

Odebrać człowiekowi wszystko, co on sobie zachował na czarną godzinę, odebrać zdradziecko, podstępnie! To wzburzyło katorgę.

Postanowiła ona znaleźć pieniądze, przedsięwziąć środki poszukiwania, niezależnie od tych, które będą przedsięwzięte tam na górze.

Podczas gdy Lezgińczykowi wymierzano razy na górze — tu wydano inny wyrok.

Postanowiono „przycisnąć" wszystkich Lezgińczyków.

Było ich sześciu.

Nie udusić, lecz tylko przycisnąć; cisnąć póty, póki nie wydadzą tajemnicy, gdzie ich towarzysz pieniądze ukrył.

— Swoi ludzie. Powinni wiedzieć.

Do wykonania wyroku przystąpili, rozumie się, ci sami długoterminowcy; oni przecież arystokracya, sędziowie, oni oprawcy katorgi.

Wyrok wykonano dziś w nocy.

Czterech najsilniejszych katorżników rzuciło się na jednego Lezgińczyka.

Dręczyli go powoli, systematycznie, póki nie powiedział, gdzie są pieniądze.

Wtedy poszli, znaleźli i przynieśli poszkodowanemu sto rubli.

Wzięto w obroty drugiego, ażeby wskazał, gdzie pięćdziesiąt rubli.

Temu dostało się jeszcze więcej.

Znęcano się nad nim jeszcze z większą surowością i okrucieństwem; jeszcze dłużej.

— Niema pieniędzy! — wołał on głosem ochrypłym.

Oni jednak nie przestawali go dręczyć.

— Przyznaj się!

Dano mu pokój dopiero wtedy, gdy nieszczęśliwy stracił przytomność.

Męczono go... tymczasem pięćdziesiąt rubli leżało już w kieszeniach oprawców.

Pierwszy odrazu wskazał, gdzie są schowane wszystkie pieniądze. Znaleziono je. Sto oddano właścicielowi, a pięćdziesiąt rozdzielono między sobą.

I zaczęto się znęcać nad innym Lezgińczykiem — „dla niepoznaki."

Oto obraz moralności katorgi!

Ojcobójcy, opryszki szczerze się oburzają, gdy towarzysz podstępnie zabierze innemu cały jego majątek.

Nadstawiają głowy, żeby biedakowi zwrócić, co mu wydarto.

Jednocześnie sami kradną mu pięćdziesiąt rubli i znęcają się nad człowiekiem niewinnym.

Proszę sobie wyobrazić, że do tej gromady, gdzie wszystko tak się pomieszało, gdzie znikła wszelka różnica między dobrem a złem, dostaje się człowiek uczciwy, który myśli i czuje, który popełnił przestępstwo pod wrażeniem chwili, człowiek, który bronił honoru osoby bliskiej, drogiej, godności podeptanej, świętości swego ogniska domowego. Człowiek, doprowadzony do tego, że na chwilę pomieszało mu się w głowie.

Proszę to wszystko sobie wyobrazić, a łatwo można będzie zrozumieć, co to jest w rzeczywistości „katorga."

Cóż dziwnego, że przytaczają wszelkie możliwe argumenty przeciwko lekarkom, przyczem często plotą duby smalone. Jedni wskazują znowu ich wady, inni dowodzą, iż brak kobiet-lekarzy nie daje się we znaki itd. Jednakże i tym opiniom trudno dać wiarę, gdyż podważają je przeciwne zdania poważnych specyalistów (prof. Olshausen i dr. Moll).

M. F.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Język polski w sądach.

Przed dwoma miesiącami komisya do przejrzenia ustaw sądowych wydała okólnik, dotyczący używania języka polskiego w sądach gminnych, podajemy jego treść: „Na zasadzie art. 464 org. wł. sąd. postępowanie w instytucyach sądowych okręgu sądowego warszawskiego odbywać się winno w języku rosyjskim. Jednocześnie wszakże, ze względu na niedostateczne rozpowszechnienie języka państwowego wśród ludności miejscowej, w uwadze do rzeczonego artykułu postanowiono, że przy rozpoznawaniu spraw cywilnych i karnych w sądach gminnych, oprócz języka rosyjskiego może być pozwolonem używanie i tego języka, którym mówi ludność miejscowa, w wypadkach, gdy strony, oraz osoby, biorące udział w sprawie, nie władają językiem rosyjskim. Lecz i w tych razach wyroki, postanowienia, oraz decyzye sądu, tudzież wszystkie wogóle akta piśmienne, pochodzące od sądu, winny być sporządzane w języku rosyjskim. W r. 1889 ministeryum sprawiedliwości, mając na względzie, że wprowadzony dla sądów gminnych wyjątek usprawiedliwiony jest rzeczywistą nieznajomością języka państwowego przez strony, tudzież osoby biorące udział w sprawie, oraz że używanie przy rozprawach sądowych w rzeczonych sądach narzeczy miejscowych nie może się praktykować bez prawnej podstawy, poleciło pp. prezesom zjazdów przedsięwziąć odpowiednio środki, zmierzające do tego, iżby przy rozpoznawaniu spraw cywilnych i karnych w sądach gminnych do protokółu posiedzenia sądowego obowiązkowo wciągane były te okoliczności, które w danym razie posłużyły za powód do zezwolenia, aby przy rozprawach sądowych wyjaśnienia stron, tudzież zeznania świadków odbywały się w narzeczu miejscowem. Zważywszy, że od czasu wprowadzenia w r. 1876 powołanego wyjątku upłynęło więcej, niż lat 20, że wobec środków przedsiębranych przez rząd w celu rozpowszechnienia znajomości języka rosyjskiego w guberniach okręgu sądowego warszawskiego, znajomość tegoż języka posunęła się znacznie naprzód i że okólnik ministeryum sprawiedliwości z d. 22 lipca r. 1889 nr. 20,284 winien był wpłynąć na powiększenie liczby wypadków rozpoznawania spraw w sądach gminnych w języku państwowym, uznano za konieczne posiadać wiadomości względem tego, czy często obecnie w sądach gminnych odbywa się rozpoznawanie spraw karnych i cywilnych w narzeczach miejscowych, a zgodnie z tem, w jakim stopniu i na jakich zasadach byłoby możliwem ograniczyć wyjątek, wprowadzony przez uwagę do art. 464 organizacyi władz sądowych."

Serce Kościuszki.

W Muzeum rapperswilskiem w jednej z baszt zamkowych urządzono mauzoleum, w którem spoczęło serce Kościuszki. Testamentem zapisane wychowanicy wodza, Emilii Zeltnerównie, przewiezione z Soleure'y nad brzegi jeziora Como, długo przechowywane było w kaplicy domowej Morosinich (rodziny męża Zeltnerówny). Po usilnych i niejednokrotnych zabiegach, staraniem hr. Brochockiego i innych udało się nareszcie wyprosić tę relikwię do Muzeum rapperswilskiego. Złożone tam było w kaplicy po ponownem zakonserwowaniu przez prof. Zygmunta Laskowskiego aż do chwili wykończenia mauzoleum właściwego, które zbudowane w baszcie północno-wschodniej, na parterze, składa się z przedsionka i izby pomnikowej, z wejściem od podwórza. Wchodzi się tam przez otwarte okute podwójne przedsionka. Tam właśnie na stałe uroczyście umieszczono relikwie. Przez kratę ozdobioną, zamykającą wnętrze izby, w głębi na tle polichromicznem ścian i obrazu „Częstochowskiej" widać symboliczną na czarnym piedestale urnę bronzową z medalionem Kościuszki. Serce spoczywa zamurowane po za urną, w krypcie wykutej w murach baszty, zamykanej na drzwi żelazne.

Politechnika w Warszawie.

Kilkakrotnie już zaznaczaliśmy potrzebę Instytutu politechnicznego u nas; ale ponieważ sprawę tę poruszała *Prawda*, więc inni grobowo o niej milczeli. Dopiero gdy ją odgrzebał obecnie organ poczytny, zwrócono na nią uwagę baczniejszą. Jeżeli kiedy, to dziś najpilniej nam potrzeba takiego zakładu. W politechnikach niemieckich dla młodzieży naszej podwojono opłatę wpisową od paru miesięcy, więc tylko zamożni mają wstęp do tych zakładów, o ile posiadają tyle siły i spokoju, ażeby znieść szykany, wyrządzane przez Niemców i o ile potrafią zachować się tak wzorowo, tj. pokornie, z zabiciem wszelkiej w sobie godności, że ich nie wyrzucą ze szkoły pod najlżejszym pozorem. Niemcy nie tają wcale, że im chodzi o zajęcie wszystkich placówek pracy fachowej u nas. Dlatego starają się wszelkimi sposobami utrudnić młodzieży naszej zdobycie wiedzy specyalnej za granicą. Tymczasem przemysł rozwija się nieustannie, powstają nowe jego gałęzie, a młodzież jest pozbawiona zupełnie możności kształcenia się w zakresie technicznym. Petersburskie wyższe zakłady naukowe są tak przepełnione, że nam, zwłaszcza wobec ograniczenia procentowego, marzyć o nich nie można. Tak np. obecnie do egzaminu w Instytucie dróg i mostów zapisało się 634 kandydatów, miejsc zaś wolnych jest tylko 100. Z tej liczby przeznaczono 10% dla kandydatów wyznania rzymsko-katolickiego, których staje do egzaminu 198. Tym sposobem 188 naraziwszy się na wielkie koszty i trudy, odejdzie z zawodem i zniechęceniem w duszy. To samo jest i w innych zakładach fachowych. Kijów wyprzedził Warszawę, bo w ciągu kilku miesięcy potrafił zebrać sumę niezbędną na stworzenie politechniki dla potrzeb kraju południowo-zachodniego. My zaś dotychczas tylko projektu-

---

XXXV.

Obłąkanie.

Wielmożny panie, w oddziale trzecim aresztant zaczął mówić od rzeczy!

Widziałem nieszczęśliwego, gdy go na pokład wyprowadzono.

Twarz blada, wystraszona, spojrzenie lękliwe, oczy szeroko rozwarte.

Spostrzega, że wszyscy patrzą na niego jakoś podejrzliwie, dziwnie — boi się, drży i... uspokaja innych.

— Kochany, uspokój się, przyjdź do siebie. Bóg z tobą!

— Nie, nic, wielmożny panie... proszę się nie bać. Czego wy wszyscy boicie się— mruczy — ja mam dwóch przyjaciół... dwóch przyjaciół... dwóch przyjaciół: jeden czarny, a drugi — elektryczność.

Co tak podziałało na nieszczęsnego?

Czy podróży nie wytrzymał? Może pomieszało mu zmysły to otoczenie, spód okrętu, duszność, towarzystwo zbójów, atmosfera więzienia katorżnego, rozmowy, które czuć krwią...

Zaczęto badać aresztantów i okazało się... że na Sachalin zesłano obłąkanego.

Był on już dawniej, w więzieniu, chory: trzymano go w szpitalu...

Pomimo to zesłano go do robót ciężkich.

Niestety, nie jest to wypadek wyjątkowy. Dozorcy więziennemu zupełnie rzecz obojętna, kogo wysyłają na katorgę: zdrowego, chorego, czy takiego, którego można karać lub którego leczyć trzeba.

Byleby jakkolwiek pozbyć się aresztanta. Niech tam dalej robią z nim, co chcą.

Głównie chodzi o to, żeby raport był „czysty"; niedobrze jakoś, gdy w więzieniu dużo obłąkanych. Mogą to przypisać „niezaradności," „niedozorowi," „złym porządkom."

Chorego zwykle trzymają w szpitalu, dopóki trochę się nie uspokoi.

Następnie nikogo nie uprzedzając, nikomu nic mówiąc słowa, pozbywają się na Sachalin.

Za każdym razem „Jarosław" przywozi na Sachalin jednego, dwu, a nawet i więcej skazańców, chorych na umyśle, ofiar kancelaryjnego traktowania sprawy, niedbalstwa, przygodnej nieuwagi dozorców i lekarzy.

Niedawno na statek „Jarosław" przywieziono byłego oficera za zabójstwo żony. Nieszczęśliwy był chory na umyśle, i to widocznie oddawna, jeszcze przed spełnieniem zbrodni...

Zarznął żonę bez żadnych widocznych powodów; sam nie mógł zdać sobie sprawy, za co; utrzymywał, że dopuścił się morderstwa „pod wpływem hypnotyzmu," że jest pod czyjąś władzą, męczy się i nie może pozbyć się tej władzy, która go gniecie; głosu, który mu ciągle mówi:

— Zrób to!

Jednocześnie nieprzerwanie, bez wypoczynku pisał. Zwykła grafomania u obłąkanych.

Z pod tego pióra wychodziły projekty, jeden po drugim. Jeden wspanialszy i bezsensowniejszy od drugiego, z dedykacyami osobom utytułowanym.

Dość byłoby spojrzeć na charakter pisma, na krzyżujące się i przecinające wiersze, napisane i wzdłuż i wpoprzek kartki, ażeby orzec, że mamy przed sobą niewątpliwie pismo obłąkanego.

A on szedł na katorgę.

Obłąkany i turma...

Czy można sobie wyobrazić coś straszniejszego nad takie połączenie?

I gdy myślę o takich wypadkach, wcale nierzadkich, przykro mi, oburzam się na prasę za artykuły antihumanitarne, wymierzane przeciwko ekspertom-lekarzom w sądzie.

„Lepiej obronić dziesięciu winnych, niżeli osądzić jednego niewinnego" — mówi nasze dobre, humanitarne, piękne prawo. A karać chorego, posyłać do robót ciężkich człowieka, który stracił rozum?

Niech będzie szerzej traktowana sprawa medycyny sądowo-lekarskiej. Niech możliwie najdokładniej w każdym wypadku będzie prowadzone badanie.

Im mniej się dostanie obłąkanych na Sachalin, tem wyższa będzie sprawiedliwość.

(C. d. n.).

jemy i czekamy na... Wawelbergów, którzyby hojnie sypnęli pieniędzmi. Wawelbergów jednak zbyt jest mało, a potrzeb tak dużo, że nawet dość znaczne fundusze tych nielicznych jednostek ofiarnych, oddane całkowicie, nie mogłyby uwolnić innych możnych od obowiązków społecznych. O stworzeniu politechniki w Warszawie najmniej myślą ci, którzy, zdawałoby się, najbardziej powinni być zainteresowani: przemysłowcy. Nie zdołali oni dotychczas jeszcze zrozumieć, że ofiarowanie funduszów na taki zakład naukowy, to nie filantropia, lecz ich własny interes. Wszakże fachowcy, jako wytwór miejscowy, daliby im siłę produkcyjną, tańszą, niż daje zagranica. Za parę tygodni otwarte już będą sale posiedzeń Towarzystwa przemysłu i handlu. Warto, ażeby tam wniesiono na porządek dzienny najpilniejszą sprawę politechniki w Warszawie i powierzono wprowadzenie jej w czyn ludziom rozumnym, energicznym, którzyby nie pogrzebali wniosku w archiwach, jak to się stało przed paru laty z projektem szkoły gorzelniczej.

Gospodarka szpitalna i formalizm.

„Niedawno — pisze *Gazeta Polska* — w pismach czytaliśmy list pewnego ubogiego szewca, który opłacił z trudem podatek szpitalny za siebie i żonę, a w kilka dni później z tą samą żoną, złożoną nagle ciężką niemocą, napróżno pukał do szpitala. Przytem kobiety, cierpiącej na jakąś chorobę zaraźliwą, współlokatorowie nie chcieli przyjąć z powrotem do mieszkania." Pismo powyższe stara się usprawiedliwić zarząd szpitala, utrzymując, że w większości wypadków nieprzyjęcie chorego nie pochodzi ze złej woli administracyi, lecz z powodu szczupłości pomieszczeń szpitalnych. Istotnie tak jest i jeżeli chodzi ściśle o administracyę szpitalną, to do niej nie można mieć najmniejszych roszczeń; ale niestety, wina ta ciąży na jednostce gospodarczej bardziej odpowiedzialnej. W stosunku do ludności miasta naszego szpitalów wogóle jest brak ogromny. Wielu się cieszy z tego, że zakład „Dzieciątka Jezus" będzie przeniesiony, jak gdyby to była zupełnie nowa instytucya. Zapominają o tem, że on zmienia tylko miejsce.

Przed laty dziesięciu założono szpital zapasowy za rogatkami Wolskiemi, następnie przerobiono szpital tymczasowy na zakład dla chorych zaraźliwych. Oba zwiększyły liczbę łóżek o 150, co jest bardzo nieznaczną drobnostką wobec ludności wielotysięcznej. I słusznie *Gazeta Polska* zaznacza, że ani urząd lekarski miasta Warszawy, ani rada dobroczynności publicznej, ani magistrat nie myślą o zwiększeniu liczby szpitali lub rozszerzeniu istniejących, że nie poruszono tej kwestyi nawet w warszawskiem Towarzystwie lekarskiem, ani w prasie specyalnej, stosunkowo dość licznie rozwiniętej. Tymczasem z chwilą ustanowienia podatku szpitalnego instytucye te otrzymały znaczny zasiłek, wynoszący około 200,000 rs. rocznie, niektóre zaś z nich posiadają dochody fundacyjne, np. szpital św. Rocha ma wzorowo zagospodarowany majątek Rakowiec pod Warszawą oraz kilkanaście tysięcy tenuty dzierżawnej. Zdawałoby się, że wobec tego suma, wynosząca 200,000 wpływów rocznych, czyli 600,000 rs., ściągniętych z mieszkańców ubogich od czasu istnienia podatku szpitalnego, powinna pójść bezwzględnie na korzyść tej ludności. Tymczasem w pierwszym roku zapłacono niedobory dawniejsze, w następnych sumę wpływu przelano do ogólnych funduszów rady dobroczynności publicznej, z których różne inne instytucye czerpią zasiłek.

Słuszne jest przypuszczenie na podstawie prawa o podatku powyższym, że interesowani mogliby zmusić radę miejską dobroczynności publicznej do zapłacenia kosztów leczenia się chorego w domu, jeżeli mu odmówiono miejsca w szpitalu. Niestety, interesowani nie są tak dalece uświadomieni, nietylko padają ofiarą tej niesprawiedliwości, ale i formalizmu administracyjnego, który dla nich jest klęską, a dla społeczeństwa piętnem hańby, dotychczas znoszonem. pomimo dość znacznego stosunkowo poziomu kultury i oświaty w tych rzeszach, które przecież powinny swój wpływ moralny szerzyć śród ogółu.

Wiadomo, że nasza gospodarka szpitalna, a z nią cała machinerya dobroczynna, jest nieudolna, licha. Przy takich środkach, jakie istnieją w rubryce dochodów szpitalnych, można nietylko udoskonalić pierwotne zaniedbane urządzenia, ale nawet stworzyć parę nowych zakładów. Tymczasem fundusze leżą lub rozpraszają się na rzeczy mniej potrzebne, jałowe, a ludność uboga łoży na to swój grosz krwawo zapracowany, ściągany nieraz forsownie. Ta sama machinerya solidaryzuje z formalizmem wszelkiego rodzaju, utrudnia przyjęcie do szpitala, lekceważy chorych lub pozostawia ich obojętnie na ulicy. Nasze pogotowie ratunkowe, instytucya zupełnie nowa, znalazło się w kłopotliwem położeniu, bo skwapliwie niesie pomoc niebezpiecznie poranionym przy pracy na ulicy lub w zakładach fabrycznych, ale nie może ich zatrzymać w wozie do chwili zupełnego wyleczenia, nie może zapewnić miejsca w szpitalu lub obronić chorego przed aresztem w cyrkule. Nie może ono wreszcie w wykonawcach przepisów według ich dosłownego brzmienia, wywołać uczuć ludzkich, wypływających z rozumu serca. Trzeba ich szukać w społeczeństwie, trzeba w ich skalne powłoki uderzać laską faraonową. Dopóki te źródła nie wytrysną, póty będzie dotkliwie cierpiała ta słabo odporna a najliczniejsza część społeczeństwa.

Kolej i publiczność.

Koleje, ta instytucya, która najbardziej i najczęściej z ogółem się styka—daje powody do skarg i roszczeń nieustannych. Ale co najdziwniejsza, że pomimo tych skarg, pomimo nawet protestów, wnoszonych do ksiąg zażaleń, lekceważą one stale i ogół, i jego potrzeby. Najdalej się posuwa w tej mierze kolej Nadwiślańska. Wprowadza ona rozporządzenia i „porządki," które właściwie są nieładem. Przez całe lato publiczność sarka na uciążliwą kontrolę w drzwiach sali, przez całe lato stacza formalne bójki z szwajcarem i konduktorem kontrolującym, a pomimo to bezmyślne rozporządzenie trwa ciągle i wydaje rezultaty jaknajfatalniejsze. Przez jedną połowę wązkich drzwi musi przejść paręset osób, które powinien skontrolować jeden człowiek. Tłumy na pół godziny przed sygnałem już się tłoczą do drzwi, częstokroć z dziećmi, narażonemi na uduszenie. Zgiełk, wrzawa, kłótnie, bójki, przeklinanie gospodarki torturującej publiczność, codzień kilka razy się powtarzają. Ludzie poturbowani, zmęczeni długiem trzymaniem rzeczy w rękach, wpadają jak rabusie do wagonów i tam w dalszym ciągu robią zamieszanie. Nie dość tego. Kolej pomimo woli stała się spólniczką złodziei, bo okradanie w tym tłoku przy drzwiach jest rzeczą powszednią. Pod tym względem kolej Terespolska jeszcze dalej się posunęła, bo jednocześnie z uderzeniem w dzwonek rozlega się głos: „Panowie, strzeżcie się złodziejów!" Każdy odruchowo chwyta za kieszeń i... wskazuje złodziejom, gdzie ma pieniądze. Wracając do kolei Nadwiślańskiej, jeszcze musimy zaznaczyć jedną bezmyślność: Służący wzięty do pomocy, nie może wnieść rzeczy do wagonu, jeżeli biletu nie posiada. Kto o tem nie wie, bez względu czy jest mężczyzną, czy kobietą, musi we drzwiach rzeczy wziąć na plecy i sam je dźwigać. Wszystko to się robi dlatego, że kolej chce ukrócić nadużycia z biletami sezonowymi. popełniane przez służbę konduktorską. Nie dość tego; bilety owe, bardzo dogodne, mają być skasowane lub w cenie podniesione. Więc za wszystko publiczność płaci zdrowiem, czasem i pieniędzmi, bo kolej nie chce wzmocnić kontroli i podnieść płacy konduktorom do takiej skali, ażeby wystarczała na utrzymanie. Niewątpliwie suma, przeznaczona na zwiększenie pensyi, nie przewyższyłaby sumy strat, które kolej ponosi skutkiem nadużyć z biletami.

W sprawie glistnika.

Odbieramy od jednego z lekarzy list następujący:

„Po raz drugi na szpaltach *Prawdy* podniesiono kwestyę stosunku lekarzy do metody d-ra Denisenki, który ogłosił fakty uleczalności raka za pomocą działania glistnika.

Zamiast przytoczyć szereg dokonanych i ogłoszonych badań *), w których nie sprawdzono wyników dodatnich, o jakich Denisenko pisał, przytoczę treść listu w piśmie *Wracz* nr. 30, str. 844, r. 1897 ogłoszonego. Z listu tego okazuje się, że następujący lekarze w Brjańsku wspólnie z Denisenką praktykujący nie widzieli nigdy *ani jednego* chorego wrzekomo uleczonego przezeń, widzieli natomiast przypadki raka leczone glistnikiem bez wszelkiego wyniku dodatniego: Powarnin, Grache, Sirotusin, Czułkow, Jejges, Gołub, Rogowicz, Smirnow, Wojtkiewicz, Szyk-Zyldawicz, Akimow.

W Towarzystwie lekarskiem miejscowem proszono d. 20 marca 1897 r. Denisenkę o pokazanie choćby jednego chorego, uleczonego glistnikiem lub przynajmniej o wskazanie takiego przypadku, na co D. dał odpowiedź wymijającą. Proszono o pokazanie choćby jednej t. zw. karty szpitalnej, jaką o każdym chorym w charakterze buletynu prowadzić należy. D. odpowiedział, że kart takich nie posiada.

W *jedynym* przykładzie wyleczonego raka twarzy w Brjańsku stosował dr. Szmigielski obok glistnika i... operacyę.

Takie wyniki daje metoda w ręku samego wynalazcy! Co się tyczy przypadku d-ra Pękosławskiego, o którym pisze *Prawda*, to w opisie brak drobiazgu: badania mikroskopowego, które *jedynie* decydować może bezspornie o rakowatym charakterze cierpienia.

Niescisłem jest wyrażenie *Prawdy* jakoby rozpoznanie „rak" zawierało w sobie wyrok niechybnej śmierci. Znaczną odsetkę chorych takich chirurdzy uratowali; stosowanie zaś środka bardzo wątpliwej, jak dotąd, wartości, opóźnia chwilę operacyi, czyli zmniejsza prawdopodobieństwo pomyślnego jej wyniku. Dlatego właśnie i wobec bojaźni jaką ogół do noża chirurgicznego wogóle żywi — błędem jest łudzenie szerokiego ogółu nadziejami nieumotywowanemi.

Mimo to prawdą jest, że w większości przypadków „medycyna przyznaje się do bezsilności wobec raka" i środka nań szuka.

Dr. X. X.

Radzibyśmy wiedzieć, dlaczego o tych ujemnych wynikach ogół dowiaduje się dopiero dzięki polemice lekarza z pismem niefachowem? *Red.*

*) Lekarze wszystkich krajów środek Denisenki próbować zaczęli; większość, zniechęcona niepowodzeniem, zaprzestała eksperymentów.

WSPOMNIENIA POZGONNE

Jan Niesłuchowski.

W Mińsku zgasł człowiek, którego szerszy ogół nie znał, dzieje literatury nie uwieczniły na swoich kartach, a po śmierci pisma nie poświęciły mu wzmianki drobnej. Stojąc zdala, na uboczu, nie był ani faworyzowany, ani popierany, nie stał się ulubieńcem żadnego pisma, nie zjednał sobie przyjaciół „wzmiankarzy," pomimo że nosił w swej duszy talent i zapał. Ukochał naturę i to naturę litewską, na jej łonie się wychował i jej szczerością się przejął. Był człowiekiem dobrym i prawym, potrafił w sobie podsycać znicz entuzyazmu duchowego, pomimo cierpień fizycznych, bo lata młodzieńcze spędził zdala od ludzi, od sztukmistrzów życia i niewolników karyery, bo z puszczą miał do czynienia, a jak tę dziewiczość przyrody odczuwał, jak jej obraz głęboko zachował w swej duszy, niech powiedzą jego własne słowa, z prześlicznej akwareli myśliwskiej, drukowanej r. z. w *Prawdzie*:

„W lesie coraz to ciemniej. Zda się w oczach rosną
Świerki olbrzymi za świerkiem i sosna za sosną,
Zda się w szarym półmroku olbrzymów postacie
Kiwają zwolna głową, popatrując na cię.
Cisza, tylko szemraniem gwarzą z sobą drzewa,
Sójka wrzasła, drozd czarny na wierzchołku śpiewa.
...z przestrzeni tysiąc głosów bieży,
A i dziesiątej części ich nie wytłomaczę.
Coś chychoce, coś skargą w mrocznej dali płacze,
Czasem ton taki rzewny, czasem ostry, dziki,
Bo też puszcza odwieczna ma swoje tajniki.
Kto wie, co w sobie kryją te dzikie przestrzenie?..
Uroczystym a groźnym głosem jest milczenie,
Gdy w echo natężone żaden głos nie leci.
Nie zdziwi się, że w cuda uwierzył lud kmieci,
Kto raz nocował w puszczy i słyszał te gwary,
Którymi przemawiają rozległe obszary."

W wielu poczyach swoich Niesłuchowski przypomina Syrokomlę, ale posiada i oryginalności dużo. Znamy sporo jego utworów, dotychczas nie drukowanych. Są między nimi także obrazki, pisane barwnie po białorusku. Warto, ażeby się kto zajął tą spuścizną i zgromadził ją w wiązankę, która wzbogaciłaby niejednym kwiatkiem naszą literaturę piękną. Niesłuchowski z zawodu był inżynierem-technologiem. Ostatnie wszakże lata skutkiem bezwładu nóg musiał poświęcić służbie biurowej w Mińsku. Ani praca monotonna, ani choroba nie potrafiły jednak zetrzeć pogody z czoła i słodyczy z tej dziwnie sympatycznej twarzy; nie potrafiły wysuszyć zapału, który bił z tej zacnej duszy silnym strumieniem.

p.

Marya Ilnicka.

Dnia 26 sierpnia zakończyła życie Marya Ilnicka, poetka i powieściopisarka, była redaktorka *Bluszczu*. Nie należała ona do talentów wybitnych, ale bądź co bądź zostawiła znaczny ślad w literaturze. Jako poetka, rozsypywała nieraz przed czytelnikami perły drobne, w jej utworach jest dużo liryzmu i uczucia. Jako powieściopisarka, snuła obrazy częściej na obłokach, niż na ziemi, tworzyła postacie częściej z mgieł, niż z krwi i ciała. Mało w nich życia rzeczywistego, lecz dużo patosu. Jako pracownica na niwie publicystycznej, położyła wielkie zasługi, była żarliwą i szczerą działaczką około naprawy serc i charakterów niewieścich. Nie zakreślała ona szerokich granic dla działalności publicznej i prywatnej kobiet, ale i nie wskazywała im jedynie ogniska domowego w ścisłem znaczeniu. Pod względem „moralności" w literaturze powieściowej była wielką purystką, z przekładów skwapliwie usuwała wszystko, co mogło gorące obrazy w fantazyi dziewcząt obudzić lub młode serca znieprawić. Nieboszczka odznaczała się charakterem prawym i szlachetnym, poświęciła się zawodowi literackiemu z szczerym zapałem i gorącą chęcią służenia ogółowi. Pracowała w tym zawodzie niezmordowanie lat 45 (31 lat redagowała *Bluszcz*), zawsze skromna i cicha, nie zaszczycona żadnym jubileuszem. Z utworów poetyckich do najwybitniejszych zaliczyć można poemat fantastyczny p. t. „Paproć," obraz dramatyczny „Alchemik," komedyę konkursową wierszem „Kto winien." Z utworów prozą: komedya „Panny Konopianki" (grana w teatrze Rozmaitości); powieści: „Pan profesor," „Kamienna wola," „Księżniczka Beata," „Bronisia," „Tarłowa góra," „Saryusze" itd. Bodaj największą poczytnością cieszył się jej „Ilustrowany skarbczyk polski, historya polska, opowiedziana wierszem." *p.*

BADANIA NAUKOWE.

WYPRAWA DO BIEGUNA POŁUDNIOWEGO.

Antwerpia, 25 sierpnia.

Schyłek XIX wieku jest dobą poświęceń bohaterskich w celu rozszerzenia wiadomości naukowych. Przeszło miesiąc temu żegnaliśmy uczonego Andrégo, puszczającego się balonem, aby drogą powietrzną odkryć biegun północny, do którego liczni podróżnicy dotychczas dotrzeć nie mogli. Jeszcze żadne wiadomości o rezultatach przedsięwzięcia nie nadeszły, gdy opuściła port antwerpijski wyprawa, udająca się w strefy bieguna południowego. Jeśli osiągnie swój cel, będzie już miała wielkie znaczenie dla nauki. Mało znane obszary, znajdujące się w obrębie południowej linii polarnej, doczekały się zaledwie kilku pomyślnych wypraw. Jednymi z pierwszych badaczy sfer morza Lodowatego południowego byli Magellan i Cook. Później Wilkes, Ross i Dumont d'Urville dokonali tam znakomitych poszukiwań i odkryli wiele ziem i wysp. Najdalej dotarł Ross: do 78 stopnia szerokości geograficznej.

Badania w krajach antarktycznych znajdują wiele przeszkód żywiołowych. Oddalenie od lądów zamieszkałych, brak znanych dróg morskich, ostry klimat stawiały niepokonane zapory. Góry lodowe, gęściej pokrywające powierzchnię morza, niż na oceanie Północnym, zagradzają często okrętom drogę i zmuszają je do ciągłego zbaczania i uciekania. Niektóre też z wypraw nie zdołały przekroczyć linii polarnej.

Podług danych temperatura latem na ziemi Grahama stoi od 3 do 5 stopni niżej zera, a zimą jest nieznaną, gdyż dotychczas żaden podróżnik nie zimował w strefie bieguna południowego.

De Gerlache, kierownik obecnej wyprawy, rozpoczął swą karyerę na morzu, jako zwyczajny majtek. Okręt, na którym służył, rozbił się przy przylądku Horna, lecz Gerlache zdołał wyratować się. Pełniąc dalej służbę morską, doszedł do stopnia oficera i po powrocie do kraju, kierował znacznemi robotami hydrograficznemi. Z zamiarem przedsięwzięcia tej wyprawy zakupił w Norwegii mały okręt, który już kilka razy odbywał podróże po morzu Lodowatem. Czyniąc przygotowania, musiał zwalczyć wiele przeciwności z powodu braku środków. Dopiero przed dwoma tygodniami Izba belgijska zatwierdziła na poparcie wyprawy 60,000 franków, a Towarzystwo geograficzne i kilka osób prywatnych powiększyło swymi datkami ten kapitał. Miasto Antwerpia urządziło w ostatnich dniach zabawę wenecką na stawie w parku miejskim, z której cały dochód w sumie 10,000 franków przeznaczono na korzyść wyprawy.

Wśród osób, składających naukową część załogi, zajmuje jedno z pierwszych miejsc p. Henryk Arctowski, Polak, geolog. Znany ze swych licznych prac naukowych w *Zeitschrift für anorganische Chimie*, w *Natural Science* i w biuletynach Towarzystwa francuskiego geologicznego, jest autorem bibliografii dzieł naukowych polskich, a wyrusza z wyprawą, aby poczynić ścisłe badania geologiczne i fizyczne w krajach podbiegunowych. W ostatnich latach studyował na uniwersytecie w Leodyum i w bibliotece British Muzeum Londynie. Prócz p. Arctowskiego, towarzyszą Gerlache'owi w celach naukowych Danco, fizyk, i Rumun Racowitza, przyrodnik. Obaj pełnili w ostatnim roku czynną służbę wojskową w stopniu oficerskim.

Załoga okrętu składa się z 15 majtków i 3 oficerów. Pomimo długich poszukiwań nie udało się Gerlache'owi znaleźć lekarza, chcącego im towarzyszyć. P. Racowitz ma zastąpić doktora; zna on anatomię i trochę medycyny.

Wyprawa nie łudzi się nadzieją, że odkryje biegun południowy. Zamierza ona przepędzić zimę w strefach podbiegunowych dla studyów naukowych. Ma tam badać fizykę oceanu, florę i faunę, pokłady geologiczne i zjawiska meteorologiczne; czynić obserwacye za pomocą stosownego zegaru, aby wynaleźć ściślejsze wskazówki, pozwalające obliczać spłaszczanie się ziemi na południu. Zabrano dwa domki wraz z laboratoryum, wiele przyrządów naukowych, żywności i konserwów na dwa lata.

Wyprawa wyruszyła dnia 16 b. m., żegnana przez ministra spraw wewnętrznych, Towarzystwo geograficzne, klub żeglarski, wiele osobistości wybitnych i przez ludność Antwerpii. Wiele statków pasażerskich odprowadziło ją do Flusengi, a na granicy holenderskiej przywitał urzędownie okręt wojenny holenderski i wyraził dzielnym podróżnikom gorące życzenia w imieniu królowej i rządu.

Pierwszy przystanek wyprawy będzie w Las Palmas, skąd się uda do Rio-de-Janeiro, Montewideo i do Punto Avenas (cieśnina Magellana). W Punto Avenas okręt ostatni raz przed wyruszeniem w strefy morza Lodowatego zabierze ładunek węgla. „Belgica" ma opuścić Amerykę południową w połowie listopada i stanąć na ziemi Grahama w pierwszych dniach grudnia, czyli podczas lata na południowej półkuli, gdzie wylądują Gerlache i jego towarzysze.

Ufajmy, że przyszłość wynagrodzi męztwo i poświęcenie dzielnych uczonych i marynarzy i że szczęśliwie powrócą ze sławą i z obfitymi plonami dla nauki.

W. Nadzieja.

LITERATURA I SZTUKA.

GENIUSZ I RASA.

Niema ras genialnych we wszystkich swych członkach. Rasa jest tylko roztworem, w którym osiada po kilka kryształów geniusza. Wyższość jej mierzy się ilością i jakością tych kryształów, które jest w stanie wydać. Jak w owocu skupia się cała energia ży-

ciowa drzewa, tak w geniuszu skupia się cała energia życiowa rasy. Dla zrobienia jednego, często wątpliwego podboju, społeczeństwo utrzymuje liczną armię, dla wydania jednego geniusza utrzymuje często całą rasę — i nic na tem nie traci! Są to t. zw. *faux frais de la production*. Społeczeństwa musiały pozwolić sobie na ten zbytek utrzymania tysięców kobiet i mężczyzn, zwykle nieużytecznych, często oddanych tylko obżarstwu i rozpuście, gdyż był to jedyny sposób wydania jednego lub kilku geniuszów, a innych racyonalnych sposobów kultury jeszcze nie znano. Związek antropologiczny geniuszu i rasy jest oczywisty: cechy rasy rozproszone podziałem pracy i krzyżowaniem bezładnem geniusz ponownie skupia w jednem ognisku. Ale stosunek psychologiczny tych dwu czynników, który sprawia, iż jeden jest samotny i drapieżny, drugi stadny i spokojny, dotychczas mało był zbadany. Zastanówmy się nad tą kwestyą.

Skąd my wiemy, iż natura nie chce właśnie egoizmu geniuszu, jako warunku twórczości biologicznej i psychologicznej? Tak legowiska tygrysów są zwykle nieprzystępne, oplecione lianami, cierniami, otoczone trzęsawiskami, a głównie atmosferą strachu, który wzbudza potężny ryk. Wyobraźmy sobie lwa, któremu wycięto pazury i wypiłowano kły: staje się zwykłem jagnięciem, dobrem do piastowania dzieci, a my chcemy, aby on jeszcze był królem zwierząt! A czyż na tem nie polega właśnie kultura społeczna? Czyż w teoryach takiego Tołstoja i całych sekt ona nie dochodzi bodaj czy nie do żądania kastracyi, opierając się na źródłach nader poważnych? Przy takich warunkach można z pięknych ogierów porobić słabowite szkapy, wilki doprowadzić do tego, aby pasły się z owieczkami na łące, a z młodszych mężczyzn wytworzyć stare, lękliwe kobiety. Kultura społeczna wszystkiego tego niewątpliwie dopiąć może, pytanie tylko, co w takim razie się stanie z postępem biologicznym i z twórczością duchową, która z nim jest najściślej związana? Pytanie, czy my mamy prawo łamać w geniuszu tę sprężynę postępu, którą jest złość i którą natura w swych celach tajemniczych delikatnie założyła? Czy geniusz, tak przetworzony, jakby go kultura społeczna przetworzyć chciała, jeszcze jest geniuszem? Zresztą, tu nie o złość czynną idzie, lecz o zwykłą samoobronę! Gdyby geniusze nie mieli swego „potwornego egoizmu,“ jużby dawno wyginęli pod ciśnieniem społecznem. Ich egoizm jest nietylko ich, ale i naszem zbawieniem, gdyż ochrania nas poniekąd od skutków naszej ślepoty.

Jakże geniusz nie ma być samotny, jeżeli naokoło niego czyha całe społeczeństwo, gotowe każdej chwili wyrwać mu wszystkie owoce jego wyższości, nawet zanim one dojrzały, a jego samego oplwać i stratować fizycznie lub moralnie? A jakże nie ma być złym i egoistą, jeżeli skazany jest na samotność i musi bronić tej samotności? Zresztą odbywa się to w interesach samegoż społeczeństwa, gdyż tylko w samotności i skupieniu owoce jego ducha dojrzewać mogą. Zaiste, niezbadane są kręte ścieżki, któremi natura dąży do swych celów. Gdy geniusz się znajduje wrzekomo w obłędzie burzycielskim, przy głębszem wejrzeniu widzimy, iż on właśnie dokonywa swej misyi twórczej. To, co z punktu widzenia przesądów chwili może się wydawać zniszczeniem, jest szeroką syntezą umysłową, moralną lub biologiczną. Tworzyć nowe, znaczy niszczyć stare. Najwięksi reformatorowie etyki, których myśl obecnie jest ubóstwiana, w swojem społeczeństwie byli niemoralnymi burzycielami. Ono ich często krzyżowało, paliło na stosach myślicieli, których systemy obecnie panują w nauce. A gdy geniusz—jakiś Goethe lub Heine—wbrew wszelkim prawidłom zdrowego rozsądku i moralności, które tratuje niemiłosiernie, oprowadza swój szał miłosny po świecie, chcąc posiąść wszystkie kobiety, i wówczas on pracuje nie dla siebie: chce zostawić światu nowego geniusza.

A nie myślmy bynajmniej, aby ten ostatni wzgląd grał małą rolę. O ile duchy twórcze w ludzkości są rzadkie, możemy wnioskować z tego: p. Nowikow, socyolog współczesny *) oblicza w przybliżeniu, że jeden człowiek mniej więcej wybitny — o tyle, żeby zasługiwał na umieszczenie w encyklopedyi — przypada blizko na pół miliona zwykłych śmiertelników. W takim razie bez przesady powiedzieć można, iż jeden geniusz przypada na setki milionów osób z tłumu.

A oto dane trochę ściślejsze: „Ogłoszono niedawno album portretów wszystkich osób, które odznaczyły się w jakiejkolwiek sposób w sztuce muzycznej, zaczynając od wieków średnich aż do dni naszych. Album to zawiera nietylko kompozytorów (a są tam wszyscy, nawet Paer, Campistron i wielu innych, zapełnie zapomnianych), ale także wirtuozów (Malibran, Patti, wielcy śpiewacy, śpiewaczki, skrzypkowie itd.) i teoretyków harmonii. Otóż wszystkie te osoby razem wzięte nie przekraczają liczby 240. Ci ludzie tak nieliczni stworzyli muzykę nowożytną!“ Jest to wprost nie do uwierzenia, zwłaszcza jeżeli zważymy, iż połowę z tej liczby można śmiało odrzucić, gdyż wykonawcy w danej chwili wcale nam nie są potrzebni. Proszę porównać tę setkę talentów twórczych z milionami osób, które czy to dla chleba, czy dla przyjemności zajmowały się muzyką, od wieków średnich aż do naszych dni, a będziemy mogli sądzić o rzadkości talentu. Zauważmy także, iż talent muzyczny jest nader specyalny — z punktu widzenia naszej teoryi **) łatwo zrozumieć, czemu często pięcioletnie dziecko może go posiadać w wysokim stopniu — i że on towarzyszy genialnym głębiom pomysłów tylko u jednostek zupełnie wyjątkowych, jak Beethoven lub Wagner. Prawdopodobnie też same stosunki liczebne pomiędzy geniuszem, talentem i tłumem powtarzają się we wszelkich innych dziedzinach czynu i myśli.

Łatwo zrozumieć, z jakim śmiechem przyszłość spoglądać będzie na nasze obecne przesądy społeczne i z jakiem nabożeństwem religijnem oddawać się będzie hodowli geniusza.

Widzieliśmy poprzednio, iż geniusz, ten prawdziwy wysłaniec i przedstawiciel gatunku, którego każdy czyn, chociażby najprywatniejszy, przybiera natychmiast charakter ogólny, jest zarazem samotnikiem. Dotykamy tu jednej z najzawilszych kwestyj psychologicznych i społecznych, stosunku geniusza do rasy. Zdaniem naszem, każda rasa, postępująca biologicznie, zdolna jest wydać geniusza, tj. jednostkę wszechstronną o skoncentrowanej energii, która byłaby przodkiem gatunku wyższego. Ale, pozostając w gromadzie, jednostka ta nie dopięła celu, gdyż cały rozwój społeczny ***), z podziałem pracy, z wzrastającą solidarnością i wreszcie z krzyżowaniem bezładnem, dąży do wytępienia takich jednostek. Ustanawia się pewna równowaga osób rasy niższej, która wszelką jednostkę zdolniejszą wyrzuca z taką samą koniecznością, z jaką korek, pogrążony w łono wody, zostaje przez nią wyrzucony na powierzchnię i w końcu wyniesiony na brzeg. Jednostka nazbyt odskakująca od systemu społecznego swą wyższością biologiczną, zostaje zeń wyrzuconą, jeżeli *nb.* nie zdoła pochwycić nad nim władzy. Dlatego geniusze każdej rasy skazani są na samotność, z której wychodzą tylko po to, aby dobijać się władzy nad tłumem. W ten sposób samotność geniusza jest jedyną drogą, zapewniającą postęp biologiczny rasy, gdyż na pewnym stopniu ewolucyi społecznej postęp ten musi oczywiście się zatrzymać. Przypuśćmy, iż stosunek liczebny geniusza do tłumu jest jak jednego do 10 milionów. Taką też powinna byłaby być jego wartość, tj. udział w podziale praw i wpływów. Społeczeństwo na to się nie zgadza i chce go postawić w równych z innymi członkami warunkach. Stąd walka, a ponieważ tłum jest dobrze zsolidaryzowany, więc geniusz wylatuje z systemu społecznego, jak kamień wyrzucony z procy. On się błąka na uboczu i albo ginie, albo też znajduje warunki niezbędne dla wydania rasy wyższej. W ten sposób powstała różnica *) między typami wyższymi — samotnymi i niższymi—społecznymi w ludzkości pierwotnej. Kto wie, czy w ten sposób i dla tych samych przyczyn nie powstała różnica między odpowiednimi typami śród zwierząt, a samotne są zawsze inteligentniejsze od pokrewnych stadnych.

Rozumie się, rasa samotników, tak wytworzona, może z czasem pod parciem warunków mniej więcej się zbliżać: tak wilki urządzają zimą chwilowe drużyny dla określonych celów, po dopięciu których rozchodzą się każdy w swoją stronę; tak feodałowie średniowieczni, żyjąc każdy w swojej norze, związani jednak byli między sobą niejaką solidarnością.

Bądź co bądź, postęp biologiczny jest możliwy tylko przy życiu samotnem, gdy zdolny samiec, porwawszy stado samic, ma możność pozostawienia chociażby jednego potomka genialnego, albo też przy pożyciu społecznem nader rozluźnionem. Mogło to mieć miejsce po części w wiekach średnich, głównie jednak w czasach przedhistorycznych. To tam należy szukać właściwej kolebki geniuszów. Oni wytworzyli się tam, w punktach, gdzie węzły społeczne albo wcale nie istniały, albo były nader słabe. Potem byli wytępiani systematycznem działaniem doborów społecznych lub rozproszyli się cząściami po członkach tłumu, pod wpływem krzyżowania bezładnego. Istotnie, tłum może znieść geniusza już tylko w tej formie cząstkowej, gdy on przebłyska mniejszym lub większym płomieniem, wydając talenty różnej miary. I tylko ślepym trafem krzyżowań on może znów, jako zjawisko atawistyczne, odrodzić się, aby jak meteor przelecieć i znowu zniknąć, gdyż nikt nie myślał dotąd zachować tej szczęśliwej kombinacyi rysów drogą doświadczeń systematycznych aż do otrzymania pożądanego rezultatu. Przy obecnem bezmyślnem marnotrawstwie najcenniejszych skarbów ludzkości, cechy, trafem skupione, znów się rozpadają. Ponieważ suma geniuszów, pozostawionych przez czasy przedhistoryczne, jest określona, a tłum coraz wzrasta, więc oni rozpraszają się coraz cieńszemi cząstkami, w postaci coraz drobniejszych talentów. Dodajmy wreszcie, iż dobory społeczne czynnie działają nad wytępieniem tych geniuszów, którzy z całym ciężarem fatalizmów dziedzicznych pod wpływem trafu krzyżowań znów się odradzają.

Bardzo zaś mała jest nadzieja, aby obecne rasy mogły wydawać nowych zupełnie geniuszów. Większość antropologów się zgadza, iż dobory społeczne pozostawiają przy życiu materyały rasowe niższe. Trudno zaś, żeby z ołowiu naraz powstało złoto. Rasa wyższa jest roztczynem, w którym osadzają się kryształy geniusza, a przy obecnym rozwoju solidarności i podziału pracy tylko rasy niższe kwitnąć mogą. Sądzimy, iż solidarność musi chwi-

*) *Conscience et volonté sociale.*
**) Porówn. „Geniusz i talent,“ *Prawda* z r. b.
***) Porówn. „Przyczynek do teoryi geniusza,“ *Prawda* z r. 1896.

*) Zobaczymy wkrótce zasadnicze znaczenie tej różnicy dla literatury.

lowo jeszcze wzrastać; jest to jedyny sposób otrzymania ustroju, w którym kwestya racyonalnej kultury geniusza będzie mogła być postawiona. Nie ukrywamy jednak bynajmniej przed sobą, iż ten wzrost zwartości społecznej opłaca się doborami społecznymi najgorszego charakteru w znaczeniu antropologicznem, co natychmiast się odbija zastojem poezyi i sztuki*). Psychologicznie te siły zwartości mogą się rozwijać bez szkody dla rasy także tylko do pewnego stopnia. Kto wie np., czy nadmierna dobroć nie jest zwykłem przetłuszczeniem tkanek? Gdy psycholog spogląda na człowieka bardzo dobrego, bardzo wyidealizowanego i bardzo wyrzekającego się, widzi przed sobą człowieka bardzo chorego. Każde wyrzeczenie się sprawia ból w duszy, którą tą drogą można doprowadzić do stanu jednej wielkiej rany. Zarazem rośnie świadomość chorobliwa, paląca się jakby w oczach chorego zwierzęcia. Nie sądzimy, żeby takie nadmierne rozpętanie sił społecznych w duszy ludzkiej było zjawiskiem pożądanem. Można je wywołać w geniuszu, jak i w każdym innym, może nawet łatwiej, niż w każdym innym, gdyż jako organizacya delikatna i skomplikowana, łatwiej wpada w stany patologiczne. Historya daje mnóstwo dowodów tego. Wogóle jednak działo się inaczej. Wypychany ciśnieniem środka społecznego, geniusz mógł w nim się utrzymać, tylko otoczywszy się monopolem. W tym celu musiał pochwycić władzę nad stadem. Wchodził w skład klasy panującej, która przynajmniej w starożytności i w wiekach średnich przedstawiała często wyższość rasową w porównaniu z ludami podbitymi. Ale i w łonie tej klasy geniusz utrzymywał się nie w formie czystej, lecz jako mieszaniec: klasa ta była rezerwoarem, który przechowywał różne części geniusza i pozwalał mu się odradzać trafem krzyżowań. Obecnie jednak prawdopodobnie i tego już o klasach wyższych powiedzieć nie można. Związki małżeńskie, oparte na pieniądzach z jednej strony, szerokie uprawianie miłostek z kobietami warstw niższych z drugiej, rozrzuciły po społeczeństwie całem zawarte niegdyś w arystokracyi części fizyologiczne geniusza. Równocześnie działał podział pracy społecznej, który uczynił z niej zwykłe typy zawodowe żołnierzy, albo nawet dojeżdżaczy i dżokejów. Są to typy byczo rozwiniętych mięśniach, jednostronne, głupie i ślepe, jak krety. Myliłby się mocno ten, coby śród nich specyalnie szukał czynników tej wyższości antropologicznej, którą geniusz przedstawia. Nauka kiedyś skrzętnie zbierać będzie te czynniki, rozrzucone po wszystkich warstwach społecznych, które obecnie z oburzającem marnotrawstwem trwonimy.

Dr. L. Winiarski.

Wystawa obrazów

WITOLDA PRUSZKOWSKIEGO

W SALONIE KRYWULTA.

Pośród szkół i kierunków, będących wyrazem dążności artystycznych danej epoki, zjawiają się nader często jednostki, niemające nic wspólnego z pragnieniami wieku, obdarzone zupełnie odrębnym temperamentem, a więc sposobem pojmowania natury, oraz stosunku do sztuki. Jeżeli jednostki takie znajdują się w posiadaniu środków dość silnych, aby poruszyć tłumy, stwarzają wtedy same nową szkołę i innych prowadzą za sobą; jeżeli zaś zdolności ich nie dosięgają miary geniusza, to skazane są albo na wieczne niezrozumienie, albo też na osłabienie, skażenie swej oryginalności w walce z otaczającemi przekonaniami i wtedy społeczeństwo otrzymuje artystów o działalności niejednolitej, zwykle lękliwej i ekscentrycznej, często zagadkowej lub chorobliwej, artystów przecenianych lub niedocenianych.

Do takich, którzy pojawili się w czasie dla nich nieodpowiednim, należał niewątpliwie zmarły niedawno Witold Pruszkowski. Poeta, romantyk, nerwowiec, lubujący się w różnego rodzaju nastrojach, był uczniem Matejki wtedy, kiedy ten geniusz porywał prawdą, plastyką i siłą swych znakomitych tworów i zmuszał nieledwie żądne sławy młode talenty do naśladowania go. Pruszkowskiego również pociągnęła za sobą potężna indywidualność wielkiego mistrza, choć subtelna i wrażliwa inteligencya młodzieńca rwała się w zupełnie inne światy. Rozdwojenie, które nastąpiło z tego powodu w jego umyśle, odbiło się na całej jego twórczości. Z początku pragnął pogodzić swoje zapędy w krainy fantazyi z wymaganiami czasu i z tej epoki pochodzi cały cykl jego historycznych obrazów, z których dwa znajdują się obecnie w salonie Krywulta.

Pierwszy z nich to „Ofiarowanie korony Piastowi," utwór z czasów jeszcze młodzieńczych. Kompozycya tego dzieła dość jest nieudolna i pozbawiona życia. Ubogiego i nędznie odzianego Piasta, który ma znakomicie oddany wyraz zakłopotania i jakby przestrachu na twarzy, wyprowadza jeden z legendowych aniołów—piękna nieziemska postać niewieścia—ku ludowi, na którego czele postępują jakiś stary kapłan i włodyka, niosący koronę na poduszce. Przedstawicielami ludu jest kilka postaci, wywołujących radośnie przyszłego króla, ale tak jakoś ospale, że się wcale tego na razie nie dostrzega. Cały środek obrazu i większą część lewej strony zajmują drzewa — stare buki — nieszczególnie wykonane, tak, że otrzymuje się wrażenie, jakby tylko kilka osób podawało Piastowi koronę — i to wszystko dziwnie bez życia i plastyki. Przytem cały obraz—wszystko, co się na nim znajduje, jest umieszczone na pierwszym planie—niema tam ani głębi, ani perspektywy — dwie postaci eterycznych aniołów wyglądają dość ciężko i wydają się niepotrzebnemi, wciśniętemi nie wiedzieć po co pomiędzy ludzi. Utwór ten najwidoczniej zupełnie nie odpowiadał usposobieniu Pruszkowskiego. Niema w nim światłości, niema siły, życia, ani porywu — a wszystko to jest niezbędnem do odtwarzania chwil dziejowych. Jedynie postać Piasta jest doskonale obmyślana i dość plastyczna. Również nie mogę się pogodzić z „Legendą o smoku wawelskim" — choć postawiłbym znacznie wyżej ten obraz od „Piasta." Nadzwyczaj subtelnie namalowaną jest blada i wylękła twarz dziewczyny, która uwieńczona girlandami kwiatów i skazana na pożarcie, usnęła, wciśnięta między skały i przez sen wyczuwa z przerażeniem, że zawisa nad nią smok potworny, zielonooki. Otóż ten smok i te skały, i ogień za skałą nie mają w sobie plastyki — kolor skały jest nienaturalny i nie czuć, że ta płasko zrobiona ściana wykutą jest z twardego kamienia; dziewczyna zaś zbyt pogrążona jest w cieniu i nie odrazu chwyta się wrażenie jej przestrachu, przez co też cały obraz traci na sile.

I wogóle wszędzie, gdzie tylko chodziło o plastykę i prawdę, tj. o ścisłą zgodność z naturą, tam Pruszkowski nie podołał zadaniu. Naprzykład w tej sielance, gdzie chłopak wiejski o charakterystycznej, pełnej tęsknego wyrazu twarzy gra na fujarce, a obok niego siedzi zasłuchana dziewczyna, niema nic takiego, coby głębiej przemawiało do duszy. Nie pomoże tu ani swobodna pozycya chłopca, ani jego oczy błyszczące, ani też realistyczne traktowanie (brudne nogi, ubranie), każdy odczuwa, że dziewczyna siedzi tak, jakby słuchała najobojętniejszego opowiadania, a co najważniejsza, każdy jest pewny, że ani takiego dziwnego kolorytu wieczornego nieba, ani takich mdłych barw na wierzbach nie widział. Brak tam głębokości i soczystości tonów wieczoru, brak tego słodkiego, upajającego nastroju, kiedy to mokre i ciepłe powietrze, pełne wonnych aromatów pól wilgotnych, kołysze się zlekka pod tchnieniem wiatru i liście okolicznych drzew ledwie dosłyszalnie szeleszczą — brak tam wyrazistości krajobrazu i nastroju. Koloryt tego wieczoru posiada barwy *podobne* do naturalnych, ale nie ma on *takich samych* i w dostatecznej sile. Co za porównanie z Chełmońskim, Falatem lub Witkiewiczem!

Dopiero w obrazach, czerpanych z eterycznych marzeń, z krainy romantycznej poezyi, widzimy, czem jest Pruszkowski i w czem leży przyczyna jego braków w utworach, wymagających plastyki. Upiory, duchy, subtelne, nieuchwytne nastroje—oto jego ulubione tematy. W nich odnajdujemy dopiero mistrza — tam daje on dowody, że nietylko jest znakomitym malarzem, ale i poetą. Typowemi pod tym względem są trzy obrazy, zatytułowane „W dzień zaduszny." Oto przed nami cmentarz o zmroku. Lampka pali się na grobie i płomień jej drga jakoś dziwnie pod tchnieniem wiatru. Przed tą lampką, wywołana wspomnieniami drogich niegdyś istot, stanęła wylękła, przytulona do drzewa postać umarłej dziewczyny. Upiór to straszny, z szyszkami wplątanemi we włosy, o wzroku dzikim, twarzy bladej i przerażonej. Jedną ręką konwulsyjnie chwyciła się za piersi, drugą jakby odpycha wspomnienia przebytych cierpień. Nastrój w tym obrazie przepyszny, a upiór posiada jakąś nieuchwytną, mistrzowską plastykę. Widać, że to nie człowiek, a jednak nie jest to tylko mgła. To *coś* żyje i cierpi, choć nie jest człowiekiem.

Pięknym jest również obraz, w którym śpi siedząca przy oknie stara, znękana kobieta i we śnie pojawia się jej widmo umarłej zapewne córki. Jest to ten sam upiór z poprzedniego obrazu. W pokoju panuje półmrok. Resztki światła dziennego, wpadające przez okno, mieszają się ze światłem czerwonej lampki, wiszącej przed obrazem. Wyraz twarzy starej jest taki, że i bez tej drugiej postaci — tego zjawiającego się ducha, możnaby wiedzieć, że ona zasnęła utrudzona pracą i że marzy o lepszych czasach. Jej twarz — to cały poemat. Twarz córki nie jest równie doskonała, a wyraz jej jest dość konwencyonalny. Ale za to co za szczególny sposób malowania duchów! Bez żadnych obłoków, ani tym podobnych akcesoryów czujemy różnicę pomiędzy ciałem starej, żywej kobiety, a eterycznem ciałem umarłej. To jest już tajemnicą autora i niezawodnie wymaga ręki mistrza.

Trzeci obraz z tego cyklu to ta sama postać dziewczyny—duch ulatujący w przestrzenie. Już noc zapadła. Przez poszarpane chmury przegląda księżyc i oświeca obłoki, które otaczają i unoszą zlekka dziewczynę. Obłoki te mają dziwny, łagodny, lekko fioletowy koloryt, podobny nieco do obłoków Podkowińskiego z marsza żałobnego. Dziewczyna rozkrzyżowała ręce, przechyliła na bok głowę z jakimś smętnym, choć słodkim uśmiechem. Widocznie oddała się na wolę wiatru i płynie, płynie w dal, ulatuje od trosk i boleści ziemskich. Jest to prześliczna kompozycya i tłomaczy łączność pomiędzy tymi trzema obrazami, z których wieje smutny i ów melancholijny ton, który u prawdziwych poetów zawsze istnieje.

To trzy obrazy uważam za najpiękniejsze ze wszystkich dzieł Pruszkowskiego,

*) Porówn. „Jeszcze o poezyi" *Prawda* z r. b.

wystawionych u Krywulta. Nie zachwyca mię w tym stopniu Anhelli. Postać leżącego w śniegu jest świetnie wykonaną pod względem rysunku i kolorytu, czuć, że jest sztywna i martwa, a płacząca nad nim Eloe z gwiazdą na głowie ma prześliczną, pełną wdzięcznego smutku postawę. Dla mnie jednak śnieg nie jest w tym obrazie dość zimny, a oświetlona krwawymi promieniami zachodzącego słońca przestrzeń nie kładzie się w dal, nie czuć tam tych syberyjskich nieskończonych równin, od których wieje mrozem — i dlatego obraz ten nie wywiera tak silnego wrażenia. „Zaczarowane skrzypki" są kompozycyą podobno niedokończoną przez artystę i dlatego też trudno o niej wyrokować. Widać jednakże z tego, co jest, że byłby ten cykl wart „Dnia zadusznego," chociaż pierwszy obraz, przedstawiający chłopca, idącego gdzieś w dal po zachodzie słońca i grającego na skrzypcach — nie posiada tego uroku, co tamte. Twarz jest śliczna, oczy natchnione, ale koloryt krajobrazu chybiony — i chociaż to jest fantazya — jakoś nie mogę się pogodzić z takiem lekceważeniem natury. Następny obraz — to ekstaza, najwyższe natchnienie przy grze, podobne do jakiegoś miłosnego uniesienia, w którem jak u Maeterlincka i Sienkiewicza pada w około deszcz gwiazd. Trzeci może najpiękniejszy — to smutny koniec natchnionej gry. Widzimy jakąś z niezrównanem mistrzowstwem oddaną mgłę poranną — jeszcze przed brzaskiem — wilgotną, gęstą i chłodną. Mgła ta napełnia całe powietrze nad jakąś topielą, gdzie zakończył swój żywot tęskny grajek wiejski. Czapka jego leży na brzegu i wskazuje dolę chłopca. Ta mgła i to przesiąkłe wilgocią powietrze posiadają takie barwy, że, aby je oddać, trzeba być niezwykłym obserwatorem natury, a przytem mistrzem. Proszę sobie wyobrazić namalowane powietrze! Doprawdy nie mogę zrozumieć, jakim sposobem w innych krajobrazach mógł Pruszkowski kłaść tak zmanierowane barwy! To mokre, namalowane powietrze to arcydzieło — choć, jak twierdzą, niedokończone.

Jeżeli do tych pięknych utworów dodamy świetne, z niezwykłą subtelnością psychologiczną oddane portrety — to każdy niezawodnie pomyśli, że w Pruszkowskim utraciliśmy prawdziwie wielkiego artystę. Tak jednak nie jest. Istnieje coś, co przeszkadza do nadania mu miana geniusza. Patrząc na jego najlepsze prace, uczuwamy jakiś brak, czujemy, że w każdej z nich jest coś niedopowiedzianego lub wyrażonego za słabo. Nie ma w nich tego porywającego pierwiastku, który istnieje w dziełach geniuszów. Nie ma tam tej wielkiej, imponującej siły — jest tylko smętne uczucie i melancholia. Naprzykład w pojawieniu się upiora na cmentarzu brakuje jednej rzeczy, któraby niezawodnie podniosła jeszcze, a raczej wytwoła niezwykłą grozę sytuacyi, brak wykończenia cmentarza, który jest przedstawiony dość dowolnie i zamało plastycznie.

Tak jest z każdem dziełem Pruszkowskiego: w każdem odczuwamy tę jakąś dziwną lękliwość, czy niepewność, jakby zahaczanie natchnienia. Gdy odtwarzamy zaś sobie postać tego artysty, nasuwa się wnet przed oczy jakaś nerwowa, niezwykle wrażliwa osobistość, człowiek, który opędzając się ustawicznie od zarzutów, że maluje rzeczy mało rozumiane przez ogół, niezgodne z duchem czasu, zamykał się w swojej pracowni i nie dawał nikomu do niej zaglądać, dopóki dzieło nie było wykończone, dopóki nie mógł być pewnym, że teraz żaden drwiący lub litościwy wzrok nie zaszkodzi jego ukochanemu tworowi, nie pobudzi jego wrażliwości do nowego przerabiania i przemazywania. Gdyby ten człowiek urodził się w naszych czasach, gdyby mógł widzieć w zaraniu swej karyery artystycznej ten popęd do malarskiego romantyzmu, jaki się wytworzył obecnie, gdyby znajdował się w posiadaniu wszystkich środków, jakimi rozporządza malarstwo ostatniej doby — wzniósłby się niezawodnie znacznie wyżej i stałby się jednym z najwybitniejszych naszych artystów. Urodzony jednakże wśród prądów mu obcych, nie miał siły do wytworzenia własnego kierunku i dał nam tylko świetne, ale, niestety, niezupełne oddźwięki własnej duszy. Szczerych artystów, prawdziwych talentów zawsze potrzeba i dlatego wielka szkoda, że już nas opuścił Witold Pruszkowski!

J. K.

SPRAWY EKONOMICZNE

ZE STOSUNKÓW ROLNYCH.

R. Meyer. — Przesilenie rolnicze dotyczy tylko pewnych warstw rolników. — Sztuczna wartość gruntów. — Kapitalizacya ulg podatkowych i ceł na zboże. — Ziemianin niemiecki i motłoch rzymski. — Wspólne rysy.

R. Meyer jest dzisiaj niewątpliwie jednym z najlepszych znawców stosunków rolnych w Europie. Z głęboką znajomością przedmiotu łączy on jeszcze znaczną ruchliwość umysłu, oraz spory zasób odwagi cywilnej, dzięki której nietylko mówi prawdę w oczy wrogom, ile właśnie przyjaciołom. To też nawet mniejszych rozmiarów artykuły tego ekonomisty bywają ciekawym przyczynkiem do zrozumienia stosunków, panujących w rolnictwie. Świeżo w dwóch numerach tygodnika wiedeńskiego *Zeit* zamieścił on rozprawkę, poświęconą rozbiorowi obecnego przesilenia agrarnego w Niemczech*). Praca ta, jak należałoby wnioskować z tytułu, musi być bardzo specyalna. Istotnie, są tam ustępy, mające doniosłość tylko miejscową. Ale po za tem R. Meyer umiał włożyć w artykuł tyle interesujących szczegółów, iż rzecz jego posiada wartość, nieproporcyonalną do rozciągłości wywodów.

Ażeby poznać przesilenie obecne, oraz zbadać, kogo ono dotknęło, porównywa on stosunki, istniejące w paru dzielnicach Rzeszy niemieckiej, tych mianowicie, które odznaczają się dość odmiennem ukształtowaniem własności ziemskiej.

W wielkiem księstwie Badeńskiem drobna własność przeważa, nawet procent włościan t. zw. sprzężajnych jest bardzo nieznaczny. Dzierżawa, pobierana tam z łąk, pozostała na dawnym poziomie, z pól, w porównaniu z r. 1878, spadła o 9%. wartość gruntów zaś trzyma się dawnej wysokości i nawet jest nieco wyższa, aniżeli była przed zjawieniem się na rynku europejskim produktów zamorskich. Badając stosunki badeńskie, nie dostrzegamy tam śladów przesilenia agrarnego, ani bankructwa, o którem tyle mówią ziemianie. Wartość ziemi wprawdzie nie wykazuje dążeń zwyżkowych, lecz także nie zna zniżki.

Przechodząc od Badenii, w której własność ziemska powyżej 100 hektarów rozległości stanowi tylko 2%, do Hanoweru, gdzie już tego rodzaju majątki wynoszą [illegible] tj. ukazuje się posiadłość wielka, widzimy, iż dzierżawne w ciągu lat ostatnich piętnastu spadło o 13%. Atoli ta zniżka rozpoczyna się dopiero od r. 1890. Własność wielka jest już dotknięta, choć nie tak silnie, jak mniemano.

Inaczej rzeczy stoją w dzielnicach, leżących na wschód od Elby. W Pomeranii w niektórych powiatach, np. w Szczecińskim, za okres 1880—1896 wynosi ona 33%, w Prusiech wschodnich w przeciągu lat 1890—1896 około 25%. To samo widzimy w Meklemburgii-szweryńskiej, tym klasycznym kraju wielkiej własności ziemskiej. Dochód czysty z ziem zniża się tam stale z roku na rok od r. 1880 i z hektaru spadł z 37 na 28. I dzierżawne spada równolegle, wraz z wartością gruntów, choć ta ostatnia stosunkowo trzyma się jeszcze najlepiej. Przesilenie występuje w tych wszystkich dzielnicach, odznaczających się przewagą wielkiej własności, w postaci bardzo napiętej i ostrej, przyczem r. 1890 stanowi wszędzie datę przełomową.

W następstwie tych poszukiwań statystycznych R. Meyer dochodzi do wniosku, że zniżka cen zboża i wogóle produktów rolnych, która na rynku od lat 22 stanowi stałe zjawisko, nie wywarła najmniejszego wpływu ujemnego na położenie włościan drobnorolnych, tj. nie oddziałała na cenę gruntów, ani na pobieraną dzierżawę w duchu zniżkowym. Skutki współzawodnictwa zamorskiego już bardziej odczuwają te warstwy włościańskie, które posiadają sprzężaj, lecz tylko o tyle, o ile gospodarują na złej glebie. Twierdzenie junkrów, iż Ameryka sprowadziła najfatalniejsze następstwa śród wszystkich grup rolników, okazuje się, w oświetleniu R. Meyera, fałszywem. Natomiast przesilenie uwydatniło się w dzielnicach, w których przeważa własność wielka. Renta gruntowa spadła tam miejscami o ⅓ i nawet ½ dawnej wysokości. Zniżka cen ziemi nie jest tak znaczną, bo odsetki, pobierane od pożyczonych kapitałów, także spadają w społeczeństwie i pozwalają kapitalizować rentę w coraz wyższej kwocie. Bądź co bądź, przesilenie rolnicze jest kryzysem tylko pewnej grupy ziemian, mianowicie wielkich właścicieli.

Załatwiwszy się ze stosunkami czysto miejscowymi, R. Meyer wypowiada kilka uwag charakteru ogólniejszego. Wprawdzie i w tym razie wywody jego dotyczą stosunków niemieckich, ale fakty pochodzenia miejscowego w gruncie służą mu tylko za przyczynek i zarazem za ilustracyę zagadnienia teoretycznego, od czego zależy wartość ziemi i jak za pośrednictwem maszyny państwowej można ją podnieść po nad poziom właściwy. Istnienie ceł na zboże w pewnym kraju sprawia taki skutek, że do „istotnej" wartości gleby dodają one jeszcze pewną kwotę. Co więcej, nawet samo widoki podniesienia taryfy celnej działają w tym kierunku i bez żadnego wysiłku ze strony właściciela ziemskiego przysparzają mu majątku, o ile chodzi o równoznacznik pieniężny posiadanego mienia.

Ażeby zrozumieć wywody Meyera, musimy uprzednio zatrzymać się nieco nad czynnikami, od których zależy wartość gruntów.

Ziemia jest tworem przyrody, tak samo jak powietrze lub woda. Rozważana z tego punktu, nie przedstawia ona żadnej „wartości." Co do tego natura jej jest zgoła odmienna, niż pospolitych wytworów ręki ludzkiej, które przedstawiają zawsze pewien wkład pracy i kapitałów. Naturalnie w ziemię możemy też włożyć i kapitały i pracę w postaci nawozów, irygacyj itd., atoli są to przyczynki drugorzędne, niezmieniające zasadniczego charakteru majątku gruntowego. Wartość ziemi pochodzi skądinąd. Gospodarujący na niej wytwarza zboże i inne produkty, które, po opłaceniu robotnika i pokryciu wszelkich kosztów, pozostawiają mu w kieszeni jeszcze pewien czysty dochód, mniejszy lub większy z jednakowej rozległości kawałka gleby, stosownie do jej urodzajności przyrodzonej. Dochód ten na podstawie bieżącej w społeczeństwie stopy procentowej, kapitalizujemy. Otrzymana tą drogą kwota pieniężna przedstawia po-

*) *Die Zeit* (R. Meyer. *Die agrarkrisis in Deutschland*) nr. 148 i 149.

ziom przeciętny, około którego waha się wartość majątku ziemskiego (do czego należy jeszcze dodać kapitały, ulokowane w budynkach itd.). Że nabywca, zapłaciwszy za majątek pewną sumę, rozważa rzecz wprost z innego punktu, mianowicie bierze kapitał za podstawę obrachunków, otrzymywany zaś dochód za odsetki, okoliczność ta gmatwa sprawę i czyni ją zawilszą, lecz nie zmienia podstawowego charakteru ani źródła wartości gruntów. W miarę tego jak dochód z ziemi wzrasta lub spada, wartość gleby podnosi się lub ulega zniżce. Słowem, ziemia zachowuje się zupełnie tak samo, jak akcya. Jak ta ostatnia waha się w kursie swoim, zależnie od wysokości otrzymanej dywidendy z jednej, zaś stopy procentowej w społeczeństwie z drugiej strony, podobnież dzieje się z wartością majątku ziemskiego. Właściciele i akcyj, i gruntów wzbogacają się i tracą mienie, tj. mogą wzbogacić się lub zubożeć nietylko skutkiem własnej zapobiegliwości lub opieszałości, ale także zależnie od stosunków, do których niczem nie przyczynili się. Teorya H. George'a polega właśnie na tem, iż widząc, jak każdy postęp społeczny, a więc dróg komunikacyjnych, wzrost zaludnienia, powstanie miast itd. bez żadnego wysiłku ze strony ziemian powiększa ich dochody i w dalszym ciągu przysparza im mienia, ekonomista ten wywnioskował, iż są oni jedynymi przywłaszczycielami całego dorobku społecznego. W takiej rozciągłości stosowana, jest ona błędną, choć punkt wyjścia jest jak najwłaściwszy. Zjawienie się konkurencyi zamorskiej dodało do wywodów zecera amerykańskiego pewne uzupełnienie, mianowicie iż rozwój społeczny może nietylko powiększać mienie rolników, lecz także odbierać go w taki sam sposób.

A zatem wszelkie okoliczności ekonomiczne, tj. związane z konjunkturami rynkowemi, jako też polityczne i społeczne, tj. przywileje i ulgi podatkowe, cła itd., podnosząc lub zniżając wysokość czystego dochodu z ziemi, odpowiednio oddziaływają na wartość gruntów. Obywatele ziemscy realizują w monecie brzęczącej wpływy swoje w społeczeństwie — w tem znaczeniu, że natychmiast cena ziemi wzrasta, gdy uda się im zniżyć stopę podatku gruntowego itd. (rozumie się, w społeczeństwie wyrobionego typu towarowego). Stosunek junkrów pruskich do maszyny państwowej przedstawia przykłady takiego spieniężania znaczenia politycznego: premie na spirytus i cukier, cła od zboża itd. nietylko przeciwdziałają napływowi odpowiednich produktów z obczyzny na rynki Niemiec, nietylko zmuszają mieszczan do uiszczania pewnego haraczu obywatelom ziemskim i podnoszą dochody z majątków. Rozpatrzone z bliska stanowią one poprostu istotną część majątku, którego wartość spadnie, gdy one zostaną usunięte. Junkrowie, gdyby byli szczerzy i nie obawiali się nadto następstw swojej otwartości, mogliby z całą stanowczością powiedzieć, że głosy, domagające się zniesienia ceł na zboże, są wymierzone przeciw zasadzie własności, są zamachem na cząstkę ich mienia. R. Meyer daje przykłady, jak przecież, w sposób pośredni, ziemianie niemieccy przyznają tę zasadę. Przytacza on ogłoszenia w gazetach o sprzedaży majątków: zawsze bywa tak podawana dokładnie ilość spirytusu, podlegającego t. zw. kontyngensowi (niższemu opodatkowaniu) i nabywający, mając taką fabrykę, odrazu wie, ile dzięki temu „upominkowi państwowemu“ otrzyma więcej dochodu z majątku, który zamierza kupić. Powstaje w ten sposób wartość sztuczna, wynikająca wprost ze zrealizowania wpływów politycznych. R. Meyer wydał w tym duchu memoryał, napisany na zjazd międzynarodowy rolników w Budapeszcie (1896), dowodząc, iż ceny majątków ziemskich może spaść silnie w Niemczech na wypadek zmian w systemie celnym. „Różnica — pisał on — pomiędzy ceną dawną a późniejszą jest tylko skapitalizowaną rentą, z ceł pochodzącą, tj. skapitalizowaną zapomogą państwową. Niektórzy obywatele nie posiadają ani grosza własnego, tylko udział w tej skapitalizowanej pensyi państwowej, która stała się pospolitym towarem, sprzedawanym i zastawianym. W Rzymie starożytnym każdy podupadły obywatel miał takie samo prawo do pensyi państwowej, do tak zwanej *annona*. Jałmużna ta była związana z osobą *civis romani*; dzisiaj jest ona nieodłączna od majątku ziemskiego, którego rentę podnosi!“ W psychologii ziemianina zachodzi poważna zmiana. Przed laty trzydziestu towarzystwa rolnicze zajmowały się w Niemczech sprawami, dotyczącemi postępu agronomicznego: technika uprawy ziemi i hodowli. Polityka zajęła obecnie miejsce takich rozpraw, ziemianie, radząc o środkach podniesienia swego dobrobytu, przedewszystkiem poszukują sposobów do zwiększenia zapomogi państwowej, do wyzysku skarbu społecznego. „Pańskie dziady,“ utrzymywane przez społeczeństwo! Dochód z tego źródła jest bardzo znaczny. Cena pszenicy w ostatnich latach na rynku angielskim, swobodnym od wszelkich ceł, wynosiła 11 marek za kwarter. Tymczasem na rynku niemieckim płacono 14—15 marek, tj. rolnicy niemieccy otrzymywali, dzięki przywilejom politycznym, przewyżkę przeszło 25%. Biorąc tę stopę za przeciętny poziom zapomogi państwowej i zważywszy, że w czystym dochodzie z majątku przedstawia ona sumę daleko wyższą, dojdziemy do wniosku, że wartość majątków ziemskich jest może o jakąś czwartą część dzisiejszego szacunku wyższa, aniżeli być powinna, gdyby rządziły tylko czynniki wyłącznie ekonomiczne.

„Od powodzenia lub przegranej politycznej — tak kończy R. Meyer swój artykuł — zależy wielkość renty gruntowej i poziom cen majątków. Słabi połączyli się z inną grupą producentów i od paru lat usiłują z nimi zawrzeć ścisłe przymierze. Ponieważ mają przeciwników — wolnomyślnych, centrum katolickie i demokracyę społeczną, i nie rozporządzają potrzebną większością w parlamencie, usiłują przeto ograniczyć prawo wyborcze. Wszystko to jest jasne, logiczne i konsekwentne. Dawna zachowawcza partya junkierska, która miała jeszcze pewne zasady polityczne, zamieniła się na stronnictwo agrarno-kapitalistyczne, starające się polepszyć swe interesy pieniężne z uszczerbkiem reszty współziomków. Od powodzenia ich lub nieudania się zamiarów zależy wzrost lub dalszy spadek renty gruntowej i ceny majątków ziemskich w Niemczech. Jest to jeden z najciekawszych, chociaż zarazem najniedorzeczniejszych objawów na gruncie zwyrodniałego już kapitalizmu.“

K. R. Ż.

O PRAWDĘ.

Redaktor na dwóch stołkach.

Przedewszystkiem kilka słów wstępu.

Przeczytawszy odpowiedź *Izraelity* na moją „prawdę gorzką,“ miałem dziwny sen. Śniło mi się, że redakcya ta nie mieści się już na ulicy Twardej, lecz za — Żelazną Bramą, a tam przy drzwiach przyjmuje ludzi jakiś błazen cyrkowy, brzęcząc dzwoneczkami nad krogulczą główką. Gdym się jednak obudził, zachwyciłem się mądrością słów — króla Salomona, który wyrzekł był: „choćbyś tłukł głupca w moździerzu z otrębami, głupoty zeń nie wytłuczesz.“ Ma racyę król Salomon; nie było nawet kogo skarcić, skoro połajanki i „niegodziwe napaści“ (patrz *Kur. Warsz.* z d. 10 b. m.) należą tam do *kunsztu* redakcyjnego.

Oprócz nieprzyzwoitych wymysłów, *Izraelita* walczy jeszcze — oszczerstwami, z których jedne kwalifikują się przed kratki sądowe, a drugie są tak sobie nieuczciwe. *Izraelita* twierdzi, że artykułów moich „drukować nie chce.“ W jaki sposób może je drukować? A toć *ani jednego* nie oddałem nowemu redaktorowi, podczas gdy dawniej oprócz mnóstwa artykułów i artykulików, oraz kilku nawet tłomaczonych, przez *15* miesięcy z rzędu pisywałem tam fejletony miesięczne w odcinku.

Skończywszy kilka tych słów wstępu, pragnę teraz wyjaśnić, kim jest obecny redaktor *Izraelity*. Otóż jest on jednocześnie redaktorem gazety hebrajskiej *Hacfiro*, pisma codziennego, które po *Kuryerze Warszawskim* liczy zapewne najwięcej czytelników. Czytają je zaś chasydzi, Żydzi kapotowi, kupcy z Nalewek, Grzybowa i małych wogóle miasteczek, oraz znaczna część Żydów ukształconych jednostronnie: judaistów, „maskilów,“ *miłośników* hebrajszczyzny lub Palestyny.

Wszystko to są ludzie, którym nigdy ani w głowie nie postało jakieś złączenie się ze społeczeństwem tutejszem; ludzie, którzy *narówni z antisemitami* drwią z wszelkiej idei asymilacyjnej. I jak tu pogodzić się z myślą, że redaktor *ich* gazety redaguje jednocześnie pismo dla Żydów, którzy sercem i duszą są oddani krajowi, nie marzą o przyjściu mesyasza, co ich wyprowadzi z „niewoli“ i potępiają obce im rojenia Herzlów o jakiemś „państwie żydowskiem?“

Izraelita i *Hacfiro* „dziećmi jednego ojca?“ Nie, to śmiech wzbudza i—oburzenie. A dawnoż to, kiedy niżej podpisany wytykał w *Izraelicie* pismu *Hacfiro*: „protegowanie chasydyzmu i pobożnych „żypic z Grzybowa,“ oraz nazywanie ciemnego fanatyka, cudotwórcę „świętym?“ A teraz *Hacfiro* wzięło w opiekę *Izraelitę*. Po śmierci Peltyna, takiego on dostał — ojczyma!

W końcu roku ubiegłego odbył się ten akt zaślubin, mezalians literacki. Ciekawa więc rzecz, co można znaleźć w *Hacfiro* za ten rok.

Kilka tygodni przed „złączeniem“ pisał jeszcze *Izraelita*: „Jeśliby gazety hebrajskie stosować się miały do wskazówek takich (chasydów i cadyków), ubo wielebyśmy stracili, gdyby nawet *istnieć przestały*.“ A dalej: „Zadaniem pism hebrajskich nie jest umieszczanie sążnistych artykułów o Sasoonie, rozprawianie o antisemitach itd.“

Otóż trzeba wiedzieć, że właśnie *Hacfiro* to ni mniej, ni więcej tylko 6 (wyraźnie *sześć*) artykułów poświęca zmarłemu bogaczowi żydowskiemu Sasoonowi (nr. 234—9). Biorę do ręki następny numer (240) i spotykam drwiny z dwóch humanitarnych, lecz nie pobożnych projektów pomocy ze strony Żydów dla unitaryanów i misyonarzy anglikańskich. Redaktor nazywa to „głupiem marzycielstwem, pustą gadaniną, szczemi słowami, śmiesznością i lekkomyślnością, bańkami mydlanemi i pianą na wodzie.“ A sens moralny? Już teraz tych projektów nie zaaprobują — Żydkowie z ulicy Franciszkańskiej...

Biorę następny (241). W nim jest napaść na postępowych rabinów amerykańskich, przezwanych za pomocą kalambura „raa-bonim“ — *synowie złego*, a także radosna nowina, że generał See nie został wybrany do żydowskiego konsystorza w Paryżu za — zaniedbanie jednego z przepisów religijnych.

Numer następny (243) przynosi nam krytykę literacką, w której p. doktór (!) pisze o „paskudnikach,“ tj. o teraźniejszej młodzieży żydowskiej, co „nie chce *siedzieć* w Bethamidraszu“ i „*stoi* o wiele niżej od Żydów ubożuchnych.“ W następnych dwóch numerach (243—4) jest obszerna odezwa do ortodoksyjnych rabinów — węgierskich, żeby się uczyli trochę po węgiersku, bo ta nauka jest obecnie potrzebną, jako „służebnica“ nauk świętych. Na 4 stronicach (9 szpaltach) rozpisuje się sam redaktor w następnym (245) numerze o instalacyi żydowskiego lord majora w Londynie.

Dzięki tedy uwadze, zwróconej przez *Izraelitę* przed *złączeniem*, przeszliśmy po kolei 12

numerów hebrajskiej gazety warszawskiej, pełnej mądrości, postępu i pokarmu duchowego dla ludzi, których jedynym łącznikiem ze światem zewnętrznym ma być owo pismo hebrajskie. *Hacfiro* walczy ciągle z antisemitami i reformą, a przecież dla jego czytelników *reformą* są także: krótsze o cal pejsy rabina, studyowanie — elementarza itp., a tu się im prawi o unitaryanach, lordmajorach i... antisemitach.

Gdyby nie było nastąpiło to fatalne przymierze: *Hacfiiro* i *Izraelita* w jednej osobie, skarciłbym niezawodnie na łamach *Izraelity* podobny kierunek *Hacfiira*. Teraz można tylko być wdzięcznym pismu nieżydowskiemu za to, że w imieniu prawdy i dla dobra tutejszej inteligencyi żydowskiej, nie mającej pojęcia o tem, co piszą w nieznanej jej z treści i języka gazecie hebrajskiej, pozwala jej oczy otworzyć na obłudę, która się rozpanoszy bez jej wiedzy.

Ze smutnych dziejów *Hacfira* za rok ubiegły, oprócz powyższych numerów „okazowych,“ możemy jeszcze zaznaczyć to, cośmy sobie zanotowali dla pamięci, nie uciekając się tym razem do wertowania i poszukiwań w samym roczniku.

Hacfiro podaje fejleton p. t. „*Choroba* (?) *inteligentów*“; ma nią być *asymilacya*, z której— nie wiadomo dlaczego — pisze: inteligencya żydowska już się wyleczyła. Pozwala jakiemuś „Lucyferowi“ spotwarzać i z błotem zmieszać Stowarzyszenie sub. handl. w. m. za to jedynie, że ono nie bawi się w nacyonalizm żydowski i „judaicę.“ Woła: „szczęśliwyś Izraelu“ z okazyi zwycięztwa ortodoksów w Częstochowie, nie pozwalających zaopatrzyć chóru bóżniczego w jednokształtne czapeczki okrągłe. Dzieli politykę na dwie części, z których druga jest zatytułowaną szumnie: „Między Izraelem a ludami.“ Dla przypodobania się chasydom, *koszerna* ta gazeta drwi i wyśmiewa w kilku aż numerach rozprawę o reformie religijnej, drukowaną w *Wschodzie*. Milczeniem „zabija“ dziełko wolnomyślne p. t. „Z życia chasydów w Polsce,“ a natomiast rozpisuje się szeroko o jakichś bajeczkach p. Steinberga, pełnych szowinizmu i zarozumiałości.

Czyż to zresztą potrzeba dowodów, faktów i cytat na to, że redaktorem — dajmy na to — *Przeglądu Katolickiego* i *Tygodniowego* nie może być jedna i ta sama osoba, pomimo, że obydwa bronią jednej sprawy — polskiej. Jakimże więc cudem dzieje się to z *Izraelitą* i *Hacfirem?*

Wiemy o istnieniu niegdyś „komitetu redakcyjnego“ przy *Izraelicie*. Teraz nadszedł czas, kiedy wskrzeszenie go jest palącą potrzebą tutejszej inteligencyi żydowskiej, jeżeli ona sobie nie życzy, aby społeczeństwo polskie straciło zupełnie i na zawsze zaufanie do jedynego organu Żydów w języku polskim. Komitet taki mógłby nawet w dalszym ciągu przyjmować do druku artykuły redaktora *Hacfira*, byle je odpowiednio skorygował i hamował zbytnie zapędy w rodzaju wycieczek przeciwko „całej“ prasie i powszechnemu jej żydożerstwu. Komitet czuwałby także nad tem, aby *Izralita* nie przeobraził się w pisemko *rewolwerowe* i pole popisu dla błaznów, wstyd przynoszących poważnemu organowi. Potrzeba jest nagląca, mamy więc nadzieję, że *Izraelita* zdąży jeszcze nas wyłająć za ten artykuł, ale w końcu sfery prawdziwie inteligentne wśród Żydów opamiętają się i sprawę poważną poważnie traktować zechcą w imieniu dobra — własnego.

Jerzy Ohr.

W DALI.

Kielce Gazeta miejscowa zarysowała bardzo smutny i doniosły obraz stosunków ekonomicznych: wędrówki masowe ludności robotniczej z Dąbrowy nad Don. Przed miesiącem z kopalni węgla donieckiego przybyli do Dąbrowy agenci, którzy, opowiadając o olbrzymich zarobkach w Cesarstwie, zaczęli zabierać łatwowiernych z miejscowych kopalni węgla. Musieli oni widocznie przemawiać i zachęcać świetnymi warunkami w Cesarstwie, skoro wkrótce zwerbowali sporo górników dąbrowskich. Po sporządzeniu kontraktu przed rejentem w Sosnowicach, zaczęli ich wysyłać. Robotnicy, uwalniając się z miejscowych kopalń, sprzedawali rzeczy, aby mieć gotówkę na drogę. Pierwsza partya, składająca się ze stu, wyruszyła w dniu 30 lipca r. b. z Dąbrowy Górniczej do stacyi Jasinowataja, w gub. Jekaterynosławskiej. Za przewóz tej partyi w wagonach klasy 3-ej i 4-ej, agenci zapłacili gotówką 1,265 rs. „Pożegnanie było tak hałaśliwe, że musiano wzywać policyę.“ O świetnych zarobkach w kopalniach okręgu donieckiego opowiadali jedni drugim rzeczy bajeczne, nic więc dziwnego, że prawie wszyscy mieli ochotę wyjechać. W niespełna dwa tygodnie zebrało się znów 80 osób, które pojechały w zeszłym miesiącu do Jasinowatej. Tym razem wysłał robotników b. dyrektor teatru. p. Sarnowski, który pojechał razem z nimi (mówią, że ma on tam przyrzeczoną posadę). Chęci do wyjazdu zaczęli nabierać także i oficyaliści, lecz, jak dotąd, nie zwerbowano ani jednego z nich. Kopalnie, widząc, co się święci, obawiały się następstw bezrobocia, ale obawa ta niedługo trwała, bo oto wszyscy, którzy wyjechali do Jasinowatej, już wracają. Wieść ta jest prawdziwą. Niejaki Piotr Bagiński, górnik z Gołonoga, opowiadał, że kontrakt, zawarty z robotnikami, był tylko pułapką na łatwowiernych, że zarząd kopalni w Jasinowatej roześmiał się tylko z całej tej umowy, a kontraktu, który mu przedstawili, nawet czytać nie chciał. Dyrektor kopalni w Jasinowatej, jakiś Francuz, powiedział całej gromadzie, że więcej nad to, co zarabiali w Królestwie, płacić nie myśli i nie może. Forszusu na zapomogę, o którym powiedziano w kontrakcie, także nikomu wydać nie chciał. Partya robotników robiła w kopalni tylko jeden dzień. Nie podobało im się tam wcale i przyszli do przekonania, że w kopalniach gazowych tamtejszych mogą zarobić mniej, niż w Dąbrowie. W kopalniach donieckich węgla rozbijać dynamitem, ani prochem nie wolno. Mówią, że pokłady znajdują się w głębokości 120 sążni. Warstwa węglowa jest wszędzie tak cienka, że dochodzi najwyżej 60 cali. Agenci znikli gdzieś w drodze. Robotnicy stali z okręgu donieckiego witają naszych serdecznie, przyjmując ich nader gościnnie. Towarzystwo kopalniane w Jasinowatej, z obawy buntu i urządzenia strejku, postanowiło odesłać czemprędzej robotników do Dąbrowy, dając każdemu po 15 rs. na drogę. Jedni powracają pieszo z Jekaterynosławia do Kijowa, inni koleją. Masa robotników z żonami dziećmi, z braku funduszów, zmuszona była pozostać w Kijowie i w Kowlu. Powracający spotykając w drodze partye robotników, jadących do Jasinowatej, namawiali ich do powrotu, lecz agent, prowadzący partyę, nie pozwolił na to. W sprawie tej zabierzemy jeszcze głos, gdy się ona wyświetli należycie.

Kalisz. Korespondent *Kuryera Warsz.* podaje fakt samowoli wykonawców władzy pruskiej, którzy na ofiarę sobie wybrali podróżnych średnio zamożnych, jadących z Kalisza lub Kaliskiego w celach leczniczych do Wrocławia. „Żandarm ostrowski, upatrzywszy sobie taką ofiarę, wmawia w podróżnego, iż ten udaje się do Ameryki, liczy jego fundusze i, znajdując jakieś sto marek, uznaje wyjazd pasażera z tak małą kwotą pieniędzy do Ameryki za nieprawny, bierze dla siebie prawem znowu jakiegoś kaduka 10 marek i odstawia go do granicy. Takich wypadków już w bieżącem lecie naliczyliśmy około 15 tu. Z tego powodu, jak słyszeliśmy, mają być przeprowadzone reklamacye w konsulacie niemieckim.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Pribalt. List.* donosi, iż władze policyjne m. Rygi codziennie niemal usuwają Żydów, którzy nie mają prawa pobytu, jako gdzieindziej urodzeni; osoby zaś, dające takim Żydom schronienie, pociągane są do odpowiedzialności.

— Zarząd katolickiego Towarzystwa dobroczynności w Tomsku zebrał już przeszło 10,000 rs. na rzecz budowy przytułku dla sierot. W jesieni r. b. — pisze *Kuryer Warsz.* — założone będą fundamenty pod dom, którego budowa ma być ukończona w r. 1898. Na początek znajdzie tam pomieszczenie 20 sierot, liczących najmniej lat 6. W miarę napływu funduszów zakład będzie rozszerzony. Ofiary nadsyłano także i z Warszawy.

— W Chicago, Filadelfii i Saint Louis położenie robotników z powodu braku pracy jest rozpaczliwe. Sto tysięcy ludzi nie ma chleba. Wielu jest blizkich śmierci. (*Kuryer Warsz.*).

— *Praw. Wiest.* ogłosił opracowaną przez ministeryum spraw wewnętrznych ustawę normalną wiejskich straży ogniowych ochotniczych, przyczem gubernatorowie otrzymali władzę zatwierdzania stowarzyszeń ochotniczych, wzorowanych na tej ustawie. Nowy statut dotyczy nietylko wsi, lecz i osad, tudzież miasteczek, nieposiadających zarządów miejskich. Instrukcya, ustawę poprzedzająca, nadaje osobom prywatnym prawo zwoływania zebrań, celem zakładania straży, pod warunkiem wyjednania pozwolenia władzy policyjnej.

— Zatwierdzono normalną ustawę Towarzystwa gospodarstwa wiejskiego pod zwierzchnictwem ministeryum rolnictwa. Instytucye, powstające na zasadzie tej ustawy, zatwierdza ministeryum rolnictwa, inne towarzystwa wymagać będą zatwierdzenia ministeryów spraw wewnętrznych i skarbu po wzajemnem ich porozumieniu.

Szkoły. Ministeryum oświaty opracowywa ustawę normalną niższych szkół rzemieślniczych.

— Inspekcya szkolna m. Warszawy zawiadamia, że niema już miejsc wolnych w bezpłatnych szkołach początkowych męzkich i żeńskich, chrześciańskich i żydowskich.

— D. 13 września przy leśnictwie warszawskiem w Drewnicy otwartą będzie niższa szkoła leśnicza. Przyjmowani będą uczniowie od lat 15, którzy ukończyli najmniej 2 klasy szkół początkowych. Kurs trwać będzie dwa lata; w r. b. otwarta będzie tylko klasa I, w której znajdzie miejsce tylko 10 uczniów, w tej liczbie 5 na koszt rządu, a 5 z opłatą za utrzymanie i ubranie po rs. 135 rocznie. Szkoła daje prawo do otrzymania posady „konduktora leśnego.“

— Dotychczas uczniowie, którzy nie zdali egzaminu do gimnazyum w ciągu roku szkolnego, nie mogli zdawać ponownie w temże gimnazyum w sierpniu. Na przyszłość przepis ma być złagodzony. Do egzaminu powtórnego będą dopuszczeni uczniowie, którzy nie zdali z jednego przedmiotu.

— Ministeryum rolnictwa postanowiło założyć dwie nowe szkoły górnicze w Tyflisie i Tomsku.

Zdrowie publiczne. Z powodu dysenteryi epidemicznej w Mińsku, zarząd kolei Moskiewsko-Brzeskiej i Libawskiej czynią starania o wyznaczenie kredytu na urządzenie wagonów-baraków i pomnożenie służby lekarskiej.

Zjazdy. W Moskwie skończył się międzynarodowy zjazd lekarz. Prace były rozdzielone na następujące sekcye: 1) anatomii, antropologii, histologii; 2) chorób wewnętrznych (w tej sekcyi zajęto się dyagnozą chorób organów wewnętrznych przy pomocy promieni Roentgena); 3) sekcya chirurgii; 4) medycyny wojskowej; 5) ginekologii; 6) hygieny i medycyny społecznej; 7) fizyologii i chemii fizyologicznej, w której przewodniczył dr. Cybulski z Krakowa; 8) chorób dziecięcych; 9) choroby oczu; 10) choroby skórne i weneryczne; 11) choroby nerwowe i umysłowe; 12) choroby uszu; 13) choroby zębów; 14) choroby nosa i krtani (w sekcyi tej mieli odczyty laryngolodzy dr. Heryng i Sędziak z Warszawy); 15) akuszeryi i chorób kobiecych; 16) terapii ogólnej; 17) patologii ogólnej i anatomii patologicznej; 18) farmakologii; 19) farmacyi i farmakognozyi; 20) medycyny sądowej. Z lekarzy Polaków dr. Odo Bujwid, prof. wszechnicy krakowskiej, miał odczyt „O drogach rozwoju tuberkulozy i o społeczno-sanitarnych środkach walki z nią.“ W sekcyi hygieny i medycyny społecznej, przy zwiedzaniu urządzeń hygienicznych Moskwy, słuchano hygienisty, dr. Polaka, który wypowiadał uwagi krytyczne i zaznajomił sekcyę z warunkami hygienicznymi Warszawy. Ze znakomitości oprócz dr. Virchowa byli Kraft-Ebing i dr. Roux, którego prace nad szczepieniem zarazka dżumy był przedmiotem wielkiego zajęcia wszystkich uczestników zjazdu. Dżuma była przyczyną, że lekarzom z Azyi i Kaukazu nie pozwolono opuścić stanowisk i przybyć do Moskwy. Był także słynny uczony włoski, Lombroso

Każda narodowość na zjeździe tworzyła osobną sekcyę. Była także i sekcya polska, ale do niej należeli tylko lekarze Polacy zagraniczni. Samych lekarzy galicyjskich przybyło około 60. Z Warszawy wzięli udział: prof. Baranowski, Heryng, Sędziak, Polak, Kurtz, Poznański, Watraszewski, Tchórznicki.

Gospodarka miejska. P. prezydent m. Warszawy podpisał już kontrakt na sporządzenie przez p. Lindleya projektu dostarczenia miastu siły elektrycznej. Oby tylko los tego projektu nie stał się podobnym losowi planu m. Warszawy!

Przemysł i handel. Sprzedażą piwa, porteru i miodu zajmą się sklepy monopolu wódczanego tylko w tych miejscowościach, w których niema handlów prywatnych, prowadzących sprzedaż tych artykułów.

Zmarli. Juliusz Horwath, były poseł i naczelny redaktor pisma *Magyar Hirlap* na Węgrzech.

— **Zarząd Salonu Szt. Pięknych Aleksandra Krywulta w Warszawie** w celu uczczenia jubileuszowej rocznicy urodzin *Adama Mickiewicza* w roku przyszłym, ogłasza niniejszem konkurs artystyczny na obraz olejny, osnuty na tematach z utworów lub życia genialnego poety i przeznacza dwie nagrody: I) rs. 300, II) 200. Termin nadsyłania prac przy zwykłych warunkach konkursowych, oznacza się na dzień *15 lutego 1898 r. włącznie*.

Po za konkursem w tymże Salonie artystycznym A. Krywulta urządzoną będzie: 1) Wystawa obrazów olejnych, akwarel, rysunków i rzeźb o tematach, zaczerpniętych z życia lub dzieł Adama Mickiewicza *z działem retrospektywnym*. 2) Jedyny i najbogatszy zbiór portretów nieśmiertelnego twórcy „Dziadów" i „Pana Tadeusza," znajdujących się w posiadaniu p. Leopolda Meyeta, uporządkowany i ułożony pod jego osobistym kierunkiem. 3) Zbiorowa wystawa akwarel, rysunków, obrazów *en grisaille*, nadesłanych i ewentualnie nagrodzonych na konkursie, ogłoszonym przez redakcyę *Tygodnika Ilustrowanego*. 4) Wystawa pamiątek i przedmiotów z osobą i twórczością Adama Mickiewicza mających związek, zapoczątkowana przez redakcyę *Tygodnika Ilustrowanego*.

— Skutkiem trudności zabrania dużego pakunku w daleką podróż, sprzedam **roczniki „Prawdy" z ostatnich 15 lat za 30 rs.** z przeznaczeniem tej sumy na cele dobroczynne.

Wszystkim, którzy raczyli wziąć udział w odprowadzeniu zwłok męża i ojca naszego

Józefa Steinhardta

zmarłego dnia 24 sierpnia r. b. w m. Częstochowie, składają serdeczne podziękowanie w głębokim smutku pozostałe

Żona i dzieci.

Tom II-gi

PISM

Aleksandra Świętochowskiego

wyszedł i zawiera:

Tragikomedya prawdy:

On i ona, Z pamiętnika, Sam w sobie, Moja głowa, Klub szachistów, Ona.

Testament Alego, Starzec i dziecię, Cholera w Neapolu.

Cena rs. 1 k. 20; przesyłka pocztowa kop. 15.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 22 Августа 1897 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.